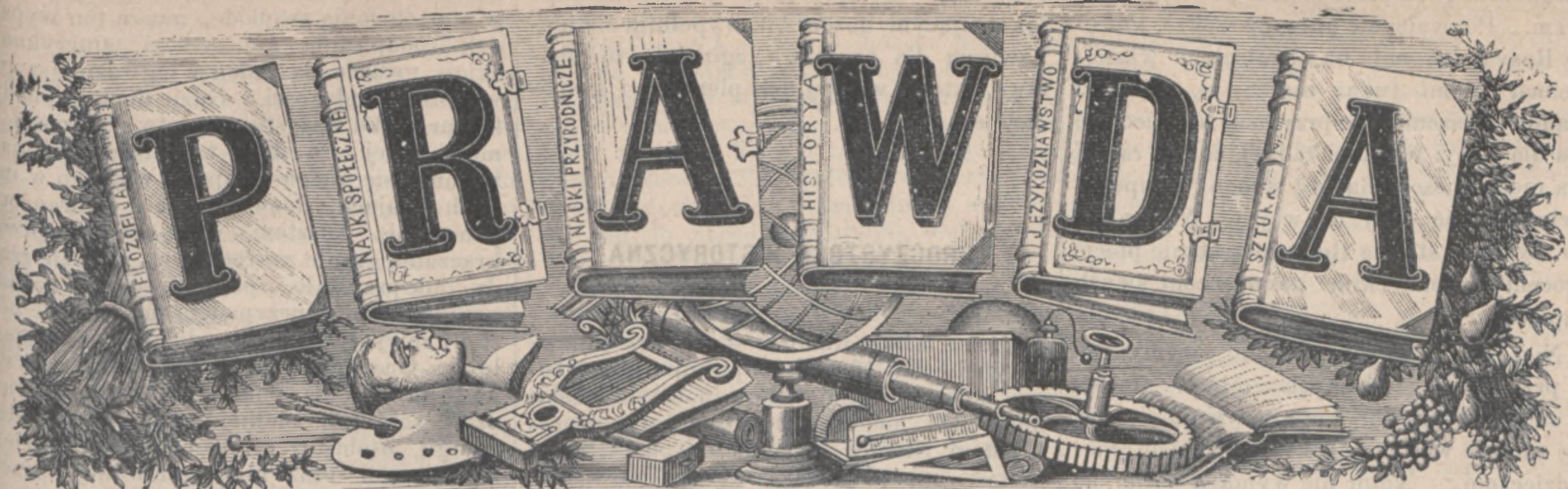
№ 39. Warszawa, dnia 24 (12) Września 1887 r. Rok VII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. abonentom przypominamy nadchodzący termin kwartalnej przedpłaty. Jednocześnie ponawiamy nasze poprzednie zawiadomienie, że dodatek nadzwyczajny, pierwszą część **Historyi XIX w.** otrzymają bezpłatnie ci tylko abonenci, którzy abonowali **Prawdę** przez cały rok bieżący. Inni, pragnący to dzieło nabyć, dopłacić raczą rs. 1.

Z powodu nieprzewidzianego przez nas opóźnienia, dodatek kwartalny (**Społeczeństwo zwierzęce**) wyjdzie dopiero przy numerze następnym.

POLITYKA.

NIEMCY A ROSYA.

Szczecin zawiódł. Wprawdzie cesarz Wilhelm przyjrzał się manewrom, ale zjazdu nie było, a niemcy lubią krzyczeć *hoch!* swojemu monarsze, lubią świat upewniać, że przed ich Bismarkiem drżą trony, ale lubią także i może nie mniej mieć otwartą i bezpieczną drogę ku wschodowi. To ich Chanaan. Wrzeszczeli, łajali, grozili, nie tracili wszakże nadziei, że nad Szczecinem wejdzie gwiazda korzystnego dla nich *gescháftu*. Nic. Więc można już podnieść stawidła i uwolnić zatamowany na chwilę strumień gniewu.

Toczy on się przez kolumny gazet i po stronicach broszur. Jedną z nich p. t. *Russlands Verhältniss zu Deutschland*, napisaną przez d-ra A. Fraenkla, chcemy w głównej osnowie przedstawić czytelnikom naszym. Zawiera ona więcej kłamstwa, niż prawdy, ale sącząca się z jej wywodów gorycz, czasem nawet łzy, wymownie znamionują chwilę obecną.

Autor otwiera rozumowanie swoje następującemi wyrzutami:

Kto Rosyę wydobył z klęsk wojny krymskiej? Prusy. Kto jej podał rękę pomocną w czasie powstania polskiego? Także Prusy. A ona? Ona po wojnie austryackiej (1866) nie chciała uznać zwycięztw pruskich a w francuskiej... tu dowodzenie autora jest tak ciekawem, że przytoczymy je dosłownie. „Również i w r. 1870 — powiada—Rosya nie pozostała neutralną z wdzięczności, lecz dlatego, że upadek Francyi cesarskiej był dla niej korzystnym. Traktatem paryzkim z r. 1856 zobowiązała się ona nie budować okrętów na morzu Czarnem i nie zakładać arsenałów na wybrzeżu. Traktat ten mogła złamać wtedy jedynie, gdy Francya zostanie osłabioną lub pokonaną. ...Tylko więc kłamliwa zuchwałość słowiańska może mówić o obowiązku wdzięczności Niemiec względem Rosyi." Z jej rządem połączył się w nienawiści naród, a zwłaszcza tak zwani panslawiści, którzy zaczęli prześladować i tępić żywioł niemiecki, chociaż on niósł państwu same dobrodziejstwa i korzyści. W wojnie tureckiej „niemiec baltycki Todleben uratował Rosyę" i cóż dopiero rzec o wszystkich błogosławieństwach kultury i cnotach społecznych! „*Z wyższego* stanowiska germanizacya słowian jest pożyteczną, wznosi ich bowiem na wyższy stopień cywilizacyi, podczas gdy rusyfikacya zniża niemców na ten szczebel, który oni zajmowali przed *1500* laty." Pomimo tego dobroczynnego wpływu, pomimo że niemcy w prowincyach nadbaltyckich okazywali zawsze niezłomną wiernopoddańczość, zaczęto ich gnębić. Ostatnie zaloty do Francyi i prawa wyjątkowe przekonywają, że Rosya idzie coraz dalej w swej nieprzyjaźni dla Niemiec i posunie się może aż do tego punktu, w którem starcie orężne będzie nieuniknionem. Możliwości tej oczekują one spokojnie i z ufnością w swe siły. Mając po swej stronie Austryę, zdołają odeprzeć napaść rosyjsko-francuską, która nawet łącznie z podjętemi i przeprowadzonemi reformami w wojskach tych krajów nie zrównoważy potęgi niemieckiej.

Dla poparcia swej nadziei cyframi, p. Fraenkel oblicza porównawczo armie przeciw sobie stojące i dochodzi do wniosku, że pod skrzydłami dwu cherubów — Bismarka i Moltkego szlachetne plemię „kulturträgerów" nie potrzebuje niczego się obawiać.

Nie jesteśmy w stanie sprawdzić ścisłości tych rachunków, że one wszakże w wielu punktach są podrobione dla podniesienia grozy i mocy Jowisza pruskiego—dostrzedz łatwo. Tak np. czytamy: „Z wielkich liczb, któremi rosyanie się popisują, na wypadek wojny strącić trzeba znaczny procent dlatego, że armia ich w pokoju przedstawia dużą ilość chorych. Na 1,000 żołnierzy choruje rocznie *770*—jak wykazuje niedawno ogłoszone sprawozdanie ministra wojny." Wyznajemy, że o takich odsetkach chorób w armii rosyjskiej słyszymy po raz pierwszy.

Powody do walki są, siły są, pewność zwycięztwa jest, więc czegoż jeszcze brak? Oto trafiamy na właściwy rdzeń broszury: niemcy posiadają za 2 miliardy marek papierów pieniężnych rosyjskich, tego kapitału strzedz a raczej wycofać go trzeba. „Ponieważ tedy ks. Bismark przewiduje starcie wojenne z Rosyą i ponieważ wobec niej nie chce być skrępowanym względami na kapitalistów (Sparer) niemieckich, więc przez usta swych dzienników wzywa publiczność niemiecką do wyprzedania i pozbycia się wartości rosyjskich."

Oto ma być objaśnienie ostatniej przeciw tym wartościom wyprawy gazet pruskich. „Dopóki trwa pokój—powiada w zakończeniu p. Fraenkel — papiery rosyjskie

dla niemców są posiadaniem pewnem i dobrem. Pogwałcenie prawa wszakże, którego Rosya dokonała na niemieckich właścicielach ziemi (ukaz marcowy), dowodzi rządowi naszemu, że przyjaźń Niemiec nie ma dla Rosyi wartości żadnej, że ona raczej dla nich usposobiona jest wrogo i z zupełną świadomością dąży do wojny. Naturalnie po wybuchu starcia Rosya przestanie płacić procenty niemieckim posiadaczom swych papierów.“

Niezależnie od ostrego tonu, wymysłów i przymówek, groźnych min i ufności w siebie, z broszury tej odzywają się ciągle żałosne westchnienia i łzawy żal do „niewdzięcznej.“ Autor nie wymaga wiele, bo tylko wolnego wpływu niemieckich rzek i strumyczków do rosyjskiego morza i wolnego łowienia w niem ryb. Czy pozostaje on w najmie u ks. Bismarka i z jego rozkazu broszurę swą napisał, czy też wystąpił na ochotnika i stara się o tę służbę, nie wiemy. W każdym razie wykazał dostateczne dla niej przymioty: bezwzględne posłuszeństwo panu, spotwarzanie jego przeciwników w kraju, wykręcanie kota ogonem i bezczelność, jakiej za gadzinową rzeszą najmitów dziennikarstwa nie spotykamy. Umie on np. prześladowanie polaków w Prusach uznawać za rzecz godziwą a prawa przeciw cudzoziemcom w Rosyi — za gwałt barbarzyński; umie on więcej... posłuchajmy: „Chociaż polacy skarżą się na to, że ich niemcy ucywilizowali (cultivirt), jest to czcza wrzawa, niemająca żadnej podstawy; *w głębi serca polacy są szczęśliwi*, że żyją pod panowaniem niemieckiem a nie słowiańskiem.“ Polacy w Prusach „szczęśliwi!“ Zaiste, ten urwipołeć powinien co najprędzej być przyjętym do redakcyi *Nordd. Allg. Ztng.* Przejdzie Pindtera, który wiesza polaków, ale przynajmniej nie mówi, że gdy im sznur na szyję zakłada, oni „w głębi serca“ mają chęć go pocałować.

A jednakże z wyjątkiem takich twierdzeń, szkoda, że p. Fraenkel nie ma racyi, szkoda, że opisywane przez niego stosunki nie leżą na ostrzu noża i że ich blizka przyszłość nie przetnie. Gdyby Europa jak trującym gazem tak wypełniła się nienawiścią dla prusaków, zginęłoby to robactwo, które w niej dziś pleni się i gospodaruje.

UROCZYSTOŚĆ HISTORYCZNA.

Przed kilku dniami — 17 września — upłynęło lat 100 od podpisania konstytucyi amerykańskiej, która położyła fundament pod budowę dzisiejszej organizacyi i potęgi Stanów Zjednoczonych. „Świat nowy“ nie obchodzi rocznic bitew, ale święci pamiątki wielkich dzieł pokoju i pracy. I tej więc uroczystości nadał szczególną wagę a związane z nią wspomnienia wskrzesił nabożnie. Zanim Unia doszła do skutku, poprzedziły ją zaciekłe walki i starcia słowne. Po zrzuceniu jarzma angielskiego (1776), 13 kolonij pozostało we wzajemnej od siebie niezależności, gdyż spajała je tylko łączna obrona od nieprzyjaciela. Stosunek taki trwałym być nie mógł. Wprawdzie artykuł federacyi z 1781 r. związał z sobą pojedyncze stany, ale temu związkowi brakło władzy centralnej, wspólnego ustawodawstwa i sądownictwa. Tu i owdzie przytem panował bezład i bezrząd. Na kongresie głosowano stanami, skutkiem czego najmniejsze były zrównane co do swych wpływów z największymi. Washington nie chciał, czy nie mógł złemu zaradzić, jego zaś adjutant, A. Hamilton daremnie skłaniał Stany do przyjęcia spójnej organizacyi państwowej i zrzeczenia się niezawisłości. Długo nie umiano wynaleźć odpowiedniej formy, któraby tę ideę upostaciowała. Początkowo podpisało konstytucyę tylko 9 Stanów, inne opierały się zjednoczeniu, mając w swych konwentach przewagę partykularystów. Powoli wszakże korzyści związku rysowały się coraz wyraźniej i przyciągały doń opornych. Gdy większość zrzeszyła się, mniejszość aż nadto wyraźnie ujrzała szkodliwość swego odosobnienia i przystąpiła do Unii. Proces ten odbywał się ociężale, ale nieprzerwanie i bez rozlewu krwi. „Potomni—mówi *Fr. Z.*—mają przeto zupełne prawo szczerze cieszyć się nietylko zwycięztwem, lecz i sposobem osiągnięcia go, a J. Bright słusznie, napisał do komitetu uroczystościowego w Filadelfii, że „cały świat cywilizowany i wszyscy, którzy w nim kochają swobodę, muszą ten wypadek (podpisania konstytucyi amerykańskiej) uważać za jeden z najważniejszych w historyi ludzkości.“ Gdzie duch swobody tak przenika wszystkie warstwy ludności— mówi dalej *Fr. Z.* — tam formy jej ujawniania się nie posiadają tej wagi, co w innych krajach, dozwalających wybrańcom panowania kosztem większości i przekraczania granic zakreślonych. „Gdzie rządy, jak przystało, spełniają tylko życzenia narodu, rzadko przypadają im doniosłe postępy inicyatywy. Co wielka Rzeczpospolita za Oceanem zdobyła i posiadła, wszystko to zawdzięcza ona — jak trafnie powiedział sekretarz stanu Bayard — osobistej energii, osobistej przedsiębierczości i wielkoduszności oraz niezmordowanej pracy ludu amerykańskiego.“

Nawet w blaskach uroczystego obchodu niepodobna oślepnąć na ujemne strony życia amerykanów — na zmateryalizowanie dążeń, na brutalny wyścig interesów, na rozbój w walce o byt, na zniżenie poziomu umysłowego i moralnego, na wysuszenie źródeł wiedzy i sztuki; ale z tych cieniów wynurza się i wierzchołkiem swoim wysoko sięga olbrzymia potęga pracy w swobodzie i pokoju, tak wysoko, że przy niej świat stary ze swojemi wyżynami jest gromadą nizkich gór przy niebotycznym szczycie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zdawało się, że ks. Bismark założy swe obcęgi i wyrwie ze szczęk półwyspu Bałkańskiego ząb bolący — wyważy Koburga. Ostre przeciw księciu bulgarskiemu wycieczki organu kanclerskiego nasuwały to przypuszczenie i pozwoliły mniemać, że między Rosyą a Niemcami nastąpiła w tej sprawie zgoda planów i działań. Zapowiedziany zjazd monarchów w Szczecinie miał ukoronować układy i objawić światu hasło porozumienia, a nawet zmartwychwstania przymierza trójcesarskiego. Tymczasem wszystkie domysły chybiły: Szczecin oglądał tylko cesarza Wilhelm, Niemcy odmówiły poparcia żądań rosyjskich i zażądały od Porty ściśle i samoistnie określonych wymagań, ks. Ferdynand sadowi się coraz mocniej, natomiast hr. Kalnoky pojechał do papieża dyplomacyi na doroczną spowiedź

KRYMINALISTA.

Patrzyłem na niego, jeszcze w czasach wczesnej bardzo młodości mojej. Nie należał on, ani do potężnych tego świata, ani nawet do tych, co całymi butami poszczycić się mogą. Od chwili, jak go zapamiętać mogę, chodził zawsze zgarbiony, z oczami bezmyślnie zapatrzonemi w przestrzeń, z rękami o grubej skórze, na których widocznie ślad pracy ciężkiej się odbijał.

Robił wszystko, co robić się dało, byle tylko za pracę swoją otrzymać zapłatę. Ponurym był, choć wieczny uśmiech gościł na jego twarzy, milczał zawsze, milczał i uśmiechał się, nawet wtedy, gdy ktoś mu o łzach i nędzy ludzkiej opowiadał.

Uwagę moją zwrócił na siebie tą zagadkowością właśnie, milczeniem tem i spokojem bezmiernym.

Toć, i on, myślałem sobie, jak inni, cierpieć musi, jak inni żyć i kaleczyć się cierniami, które tak obficie natura i losy ścielą na ścieżce uprzywilejowanego rodzaju swego... ...Czemuż nie płacze?.. czemu się nie skarży?.. A może już mu łez zabrakło?.. Albo może ma tak uorganizowane torebki łzowe przy oczach, że one łez wylewać nie umieją?..

Widziałem go naprzykład, jak dni parę wałęsał się bez pracy i nadstawiał uszów, niby nadsłuchując, czy go kto po imieniu do roboty nie zawoła... Robotnikiem był tęgim, najcięższe kamienie podnosił jak piórka, nie lenił się, a jednak nie miał szczęścia...

Ogrodnik Tomasz mówił mi, że on, Maksym ma: „taki charakter, chtórny bez nijakiego pożywienia cały tydzień przeżyć może...“ Charakter dziwny... Nieprawdaż?.. Zdarzają się jednak takie, dowiedziałem się o tem później; w on czas, objaśnienie Tomasza nie mogło mi się w głowie pomieścić...

W ogrodzie naszej willi, otoczonym żelazną kratą, było mnóstwo róż, jaśminów i przeróżnego kwiecia. Wesoło też było mnie, naówczas dziecku jeszcze, wesoło motylom i pszczołom, które z nich słodycz wysysały, wesoło ptakom, które grzebały w ziemi, wydobywając z niej ziarna dla siebie i słomki lub inne drobne rupiecie na budowlany materyał do swoich gniazdek.

Bawił mnie ten trud ptaszęcy, te smutne miny przekrzywionych na bok wróblich główek, gdy ziarna dokopać się nie mogły, te radosne ich ćwierkania, gdy poszukiwania uwieńczał pożądany skutek.

A co to za naród dowcipny, tych szarych, tłustych wróblów! Gdy który ziarno złowił, wrzeszczał tak, że aż w uszach mi szczypało; wnet nadlatywał na to hasło drugi, trzeci, dziesiąty i rozpoczynało się gospodarstwo na kląbie, którego rezultaty do żywego oburzały poczciwego Tomasza. Klął też, bo klął biedne wróble, na czem świat stoi, przepowiadając, iż latem ogród, dzięki tym psotnikom, jak pustynia wyglądać będzie. Znały go też wróble doskonale, zrywały się szybko z miejsca, gdy zdala zamigotała w ogrodzie szara jego kapota, i siadały na spiczastych końcach prętów żelaznego oparkanienia, przekrzywiały główki, jakby z ironią zwracając swe oczy ku niemu, i znów ćwierkały zajadle...

Wyobrażałem sobie, iż wtedy śmieją się z niego...

Tomasz wpadł na myśl, nienową zresztą, odstraszenia tych nieproszonych gości od naszego ogrodu. Pewnego poranku, w samym środku pięknego kląbu, spostrzegłem dziwoląga jakiegoś, mającego naśladować człowieka, a będącego tylko krzyżem z dwóch tyczek, na którym Tomasz zawiesił kapelusz, połachmaniony surdut i inne tego rodzaju przybory.

We wróblim rodzie wywołało to nowe zjawisko zamieszanie wielkie: ćwierk się powiększył i żaden z rabusiów nie śmiał podlecić bliżej, do owego kląbu, z którego

i po błogosławieństwo. *Thurmhoch* jest obecnie tylko przyjaźń niemiecko-austryacka. Prefekt Ruszczuku, wsławiony w walkach za sprawę ks. Battenberga, do współki z miejscowym dziennikiem obraził konsula niemieckiego. Niemieckiego! Wiedzą królikowie plemion afrykańskich, co to znaczy. Powstała też wrzawa, miały popłynąć do portów bulgarskich trzy pancerniki. Nie było rady: prefektowi dano dymisyę, dziennik zamknięto, redaktora pociągnięto do odpowiedzialności sądowej, a wtedy rząd niemiecki oświadczył, że jest z tej satysfakcyi zadowolony.

Po ukończonych wczasach majstrowie i robotnicy zasiedli do warsztatów politycznych. Niemców zajmuje przedłużenie okresu sejmów na lat 5, co, łącznie z zamiarem posunięcia pełnoletności wyborczej z 25 na 30 rok życia, dałoby rządowi większą niezależność od parlamentu, zwłaszcza gdyby jeszcze udało mu się znieść głosowanie tajemne. Bismark nie opuszcza swej myśli usamowolnienia władzy i ubezwładnienia przedstawicieli narodu, a kuje żelazo póki gorące, tj. dopóki korna większość w sejmach do takich kroków wstecznych pomaga.

Zwołanie austryackiej Rady państwa opóźniono skutkiem układów z czechami, rozjątrzonymi zamachem ministra oświaty na szkoły średnie. Ponieważ, bądź co bądź, na czele ich stoi Rieger, polityk umiarkowany i nielubiący posuwać sporów do krańca, prawdopodobnie więc przed otwarciem sesyi przynajmniej staroczesi będą jakiemś ustępstwem przejednani.

Rząd angielski już tylko dla niezdradzenia obawy i słabości idzie konsekwetnie w kierunku ciemiężenia Irlandyi. Kilku jej posłów zamknął w więzieniu, a będzie musiał to zrobić ze wszystkimi, gdyż umyślnie wyzywają przeciw sobie jego srogość, pragnąc, ażeby gwałt przybrał jak największe rozmiary. Niedawny atak policyi na zebranie ludowe i jej okrucieństwa zaczynają już nawet w anglikach budzić niesmak i niechęć do rządów Salisburego, który każdym swoim krokiem przekonywa, że prócz ruchów wstecznych i ciemięztw bezmyślnych do niczego innego nie jest zdolnym. Nie przedstawia on konserwatystę w wielkim stylu, jak Disraeli, ale torysowskiego karła. Niedawno ogłosił ligę irladzką za niebezpieczną, teraz ją kazał znieść. Niewątpliwie uciśnieni odpowiedzą mu na ten rozkaz w sposób znany.

Zupełnie jak bohater w pewnej farsie wiedeńskiej — powiada o manifeście hr. Paryża jedna z gazet. Oglądając mieszkanie do wynajęcia, dziwi się małej cenie i namawia do podwyższenia jej a po cichu mówi sobie: „wszystko mi jedno, ile mu będę winien.“ Filip dotąd z Konopi a według numeracyi VII sypie swym przyszłym poddanym obietnice pełną garścią: odwołanie się do narodu (plebiscyt), stałość rządów, zmiennych przy Rzeczypospolitej, obfitość sojuszów zewnętrznych, powaga w Europie, głosowanie powszechne, większość senatu z wyborów, równowaga finansów, unormowanie budżetu, samorząd gminny, poprawa doli robotników itd. Tylko zamiast Graevego Filip, no i zamiast 600,000 fr. 30,000,000 listy cywilnej, chociaż o tej drobnostce Filip przemilcza, zwłaszcza że zapowiada swą dbałość o finanse. Czemu nie przyrzekł odzyskać Alzacyi i Lotaryngii? Przecie, jak owemu bohaterowi w farsie powinno mu być obojętnem, ile zadłuży się narodowi.

Mimo że zręcznie napisany i w chwili niezgód rzucony, manifest ten nie zrobił we Francyi głębszego wrażenia. Pobudził tylko lewicę do postawienia wniosku, ażeby oczyszczono kraj z Orleanów i skonfiskowano ich dobra, oraz bonapartystów do wywieszenia swego sztandaru. Ks. Wiktor Napoleon podobno już pisze swój manifest. Dopóki zaś we Francyi są bimonarchiści, jak bimetaliści, tj. dopóki wyznawcy jednej zasady rozszczepiają się na dwa obozy, Rzeczpospolita ma z nimi sprawę łatwą.

Na Watykan rzucono kilka petard, skutkiem czego wojsko musiało ubezpieczyć papieża od „wiernych synów.“

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DOKĄD DĄŻYĆ POWINNIŚMY.

Na niezmącony firmament uwielbień „większej własności“ z peterburskiego *Kraju* padły po sobie dwa gromy: jeden w znanych odkryciach p. Waliszewskiego o niszczeniu dóbr ziemskich, osłabiony w swym wybuchu spokojniejszem i z istotą rzeczy zgodnem badaniem rzeczywistego stanu majątków subhastowanych, drugi tamże wypuszczony został w liście „starego szlachcica,“ po którym, jeśli mamy go brać za obraz położenia, szlachcie naszej nie pozostawało by nic innego, jak zarzuciwszy togę na głowę nadstawić pierś pod cios śmiertelny nowożytnego Brutusa.

„Stary szlachcic“ w najczarniejszych barwach maluje nam charakter, obywatelskość i zwyczaje towarzyskie ziemian podolskich i choć poglądy jego starają się zachować cechę szkiców miejscowych, nietrudno domyśleć się, że na tle, którego jeden rąbek nam uchylono, rysują się ponure widoki obrazu szerszego.

Klątwa „starego szlachcica“ nie dotyka tylko jednostek. Cały gmach szlachetczyzny od fundamentów do zrębu chwieje się i rozpada pod ciosami ostatniego z mohikanów, a nad ruinami tradycyi — dla przyszłości wyryto złowieszczy napis: *lasciate ogni speranza*!

Druzgocząc resztki wiary, jaką wielbiciele inteligencyi wiejskiej żywią dla niej w swych sercach, pełen zwątpienia i rozpaczy woła: „dokąd dążymy?“ Gdybyśmy podzielili z nim wyznanie wiary, odpowiedź nie byłaby trudną. Tam, gdzie zatarto wszelkie szlachetniejsze porywy, gdzie poczucie obowiązków i miłości kraju toczy zgnilizna społeczna — ostateczny upadek nie jest już kwestyą lat, ale dni.

Inaczej jednak przedstawi się zagadnienie, jeśli, nierozczuleni łzami „szlachcica,“ spytamy: za czem on płacze? Za czem? Ależ za utraconem stanowiskiem kasty panującej, za złotemi chwilami swobody i wszechpotęgi szlacheckiej, za przywilejami, które zniesiono, za wytrąconym z rąk rycerzy Mohorta orężem.

I zamiast współczuć boleści kresowca, zapytamy go tylko: czy warto płakać nad tem, co żalu nie warte i czy rzeczywiście położenie jest tak rozpaczliwe? Skrajny pesymizm, wiejący z listu „szlachcica,“ stanowi właśnie punkt wyjścia dla umysłu niezamąconego bezwzględnem uwielbieniem z jednej a zasadniczem uprzedzeniem z drugiej strony.

Źle jest—prawda; zaznaczaliśmy już niejednokrotnie martwotę moralną, jaka zapanowała wśród inteligencyi wiejskiej. Lecz odgrzebując staranniej ten popiół, jakim szlachta zasypała i stanowisko swoje i wszystkie ścieżki doń prowadzące, odnaleźlibyśmy iskrę, z której rozniecić by się dało znicz ofiary i miłości. Tylko obalić potrzeba świątynię, którą Molochowi wystawiło ziemiaństwo, świątynię, w której zamknięto wszystkie pragnienia i cele.

---

tak obficie przed tem korzystały. Żal mi się zrobiło, żal bardzo, zwłaszcza gdym zauważył, że humor ich z każdym dniem się pogarszał; postanowiłem więc wynagrodzić im to, co straciły na przezorności Tomasza.

Rano więc, zaraz po śniadaniu, zabierałem drugą swoją bułkę, biegłem do ogrodu i drobiłem ją na ścieżce bocznej alei; potem schowany za altanę, z radością najwyższą, przyglądałem się zadowoleniu ptaszęcej rzeszy, jaką wywoływała ofiarność moja.

Powoli gromadka łaknących chleba zaczęła się powiększać, tak, iż rozdrobniona bułka nie mogła wszystkich obdzielić. Podwyższyłem więc mój etat o jedną jeszcze bułkę i przynosiłem ich dwie, a że i ta zdwojona racya niknęła bardzo szybko, przyszedłem więc do przekonania, że moje wróble nie mają najmniejszego pojęcia o ekonomii i postanowiłem nauczyć je oszczędności. Codziennie zatem ofiarę mą rozdzielałem na dwa dania: jedną bułkę dawałem rano, drugą po obiedzie.

Pewnego dnia wszakże spostrzegłem, iż prócz wróbli mam jeszcze innego amatora na moje bułki, gdyż pozostawiona jedna z nich rano na poobiedzie, pod krzakiem agrestu, zniknęła bez śladu. Myślałem, że zabrał ją Tomasz, przekonałem się jednak, że byłem w błędzie; zapytany bowiem o to, solennie zaprzeczył, a jemu wierzyć było można, gdyż nawet w drobnostkach nie kłamał.

Nazajutrz stało się toż samo, bułka z pod krzaka znów zniknęła... Ha, trzeba było poszukać rabusia nietylko mojego, ale i moich wróbli. W tym celu dnia następnego schowałem się za altanę, pozostawiwszy na zwykłem miejscu moją bułkę.

Altanka, ocieniona gęstemi gałęziami dzikiego, zielonego bluszczu, była znakomitym punktem obserwacyjnym; przytykała ona do tej części żelaznego oparkanienia ogrodu, które leżało obok ulicy i z niej mogłem dokładnie widzieć nietylko to, co się działo w alei ogrodowej, ale i to, co po za nią na zewnątrz — w ulicy.

Przesiedziałem tak na czatach czas pewien, gdy naraz dosłyszałem jakiś szczebiot dziecięcy.

— Nie płacz!.. nie płacz, Helu! — mówił głos jeden; panicz dobry, znów tam pewnie dla nas bułeczkę położył... najemy się... najemy po pańsku... O!.. o!.. widzisz?.. leży!..

— Dzie?!..

Było to pytanie w odpowiedzi, które dało mi poznać, iż drugi głos dziecięcy należał do istoty, nieumiejącej jeszcze wymawiać wszystkich liter...

— A, o! tam, patrzaj — zawołał głos drugi. I w tejże chwili spostrzegłem małą, drobną rączkę, jak się wsunęła między sztachety żelazne i jak usiłowała moją bułkę pochwycić...

Daremnym jednak był ten zamiar; bułkę widocznie położyłem za daleko od muru i sztachet, krótka dziecięca ręka nie mogła jej dosięgnąć.

Wskoczyłem na ławkę pod altaną, aby zobaczyć twarze nowych moich stołowników.

Było to dwoje dzieci; on mógł liczyć lat siedem, ona nie więcej, jak cztery. Oboje mieli na sobie zgrzebne koszulki, przepasane w stanie jakimś sznurkiem, czy krajką, oboje zamorusani i czarni prawie, z włosami potarganymi i zasuniętymi na czoło; oboje po raz pierwszy dali mi obrazek nędzy, o której słyszałem dotąd tylko z opowiadania.

— Pawelku!.. a dzie bula?.. — zapiszczała maleńka.

— A ot, tam, za krzakiem, widzisz jaka smaczna, bieluteńka. Oj będzie ci smakować, będzie, tylko ją dostanę.

— Mnio!.. mnio!.. — cmoknęła ustami dziewczynka, przerywając płacz, gdy chłopiec daremnie się wysilał, aby przez kratę zdobyć owo marzenie obojga, mające ich głód zaspokoić.

— Do licha — zawołał po chwili, jakby sam do siebie — tak daleko leży!..

Wpływy moralne i materyalne, które w ostatniej ćwierci wieku zagroziły stanowisku większej własności, wyrodziły walkę z jej strony odporną, lecz pojętą źle i jednostronnie. Ratunek widziano tylko w przedsiębraniu środków, wiodących do ocalenia mienia, a jednym z następstw tej klęski był egoizm, jakiego przykładu nigdzie byśmy chyba nie znaleźli.

Upadek życia towarzyskiego, zaprzepaszczenie uczuć obywatelskich, samolubstwo i chciwość — oto, co przyniósł nowoczesny program tej niegdyś lekkomyślnej i hulaszczej rzeszy. Dawniejsi obrońcy kresów, z sercem na dłoni i z gotowością do ofiar dla współbraci, dziś jak strusie chowają w piasek własną głowę, sądząc, że ochrona bytu materyalnego jest wyłącznem ich zadaniem i obowiązkiem. Do czego ta jednostronność programu doprowadziła, widzimy wszyscy, maluje nam to wyraźnie list „starego szlachcica“ i dlatego nie ten będzie przyjacielem kraju, kto potakuje drzemce obywatelskiej ukołysanej na temat piosnki o chlebie powszednim, lub kto — jak „stary szlachcic“ — płacze nad obniżeniem poziomu moralnego — lecz ten, kto otworzy oczy wystygłym, rozbudzi ducha i serce, wskaże szerokie pole pracy ogólno-krajowej.

Do czego nam jeremiady „starego szlachcica,“ jakie ich następstwa? Większe tylko rozgoryczenie, większa przepaść między narodem, ale pożytek żaden. Na temat szlachtożerstwa wypisano morze atramentu i nie bez skutku — co prawda. Rozpadliśmy się na dwa obozy a następstwa tego rozdziału nikogo cieszyć nie powinny. Kto tak słabemi siłami jak my rozporządza, temu nie wolno osłabiać ich dalej pod grozą upadku, z którego już nic nie podniesie. Ćwierć wieku trwa ta gadanina o strupieszałej szlachcie i nagadaliśmy się chyba już dosyć. Czas zatem wielki zaprzestać tego przelewania wody i starać się, by z tej szlachty, która jako kasta zniknęła, wytworzyć dzielnych obywateli.

Niech „stary szlachcic“ nie sądzi, że materyału zbraknie. On radby z podupadłych dziś rodów stworzyć nowe pokolenie „Mohortów“ z ich niezaprzeczonymi przymiotami, ale i wielkiemi wadami; my powołać pragniemy do życia pokolenie, dla którego rodem będzie cały naród. I tu tkwi w zobopólnych pragnieniach zasadnicza różnica. Oni — „starzy“ radziby wznowić hasła dawne dla rycerzy i panów, my „młodzi“ chcemy być tylko obywatelami i sługami kraju. W urzeczywistnienie pragnień pierwszych nie wierzymy, dla ziszczenia drugich pole otwarte.

I dlatego pytanie: dokąd dążymy? — pozostanie bezcelową igraszką słów. Wszak droga jedna tylko być może, a jeśli „starego szlachcica“ tęsknota za ideałami przeszłości do tego stopnia przygnębia, że zrozpaczony opuszcza bezsilnie ręce i traci wszelką nadzieję, my podobnemu uczuciu nie poddamy się nigdy.

Jakkolwiek się nazwiemy: szlachtą, ziemiaństwem czy inteligencyą — w naszem przekonaniu nazwa ta nie będzie synekurą lub równoznacznikiem kastowości, lecz przywilejem do gorliwszego służenia krajowi. Ze wszystkich przywilejów, jakie dzieje przyniosły uprzywilejowanemu niegdyś stanowi, ten jeden pozostał i z niego tylko korzystać chcemy. Nie żal nam tych krwią i krzywdą maluczkich zdobytych praw, bo stokroć droższe i szlachetniejsze zdobyć pragniemy.

Ale niech nikt przedwcześnie nie rzuca proroctw przyszłości. Przechodzimy ciężkie nad wyraz chwile, a obarczać je najsroższą troską, utratą nadziei, to dotkliwa dla narodu krzywda.

Po bezmiernych klęskach, jakie dotknęły świat ziemiański należało pomyśleć o odrodzeniu materyalnem i moralnem. Jesteśmy w epoce stwarzania pierwszego, a choć kierunek obrany za zbyt bezwzględnie pochłonął działalność społeczną, do odrodzenia moralnego chwila niedaleka, byle fałszywi prorocy na wzór „starego szlachcica“ nie przytłumiali wiary we własne siły i nie wywlekali widma dawno pogrzebanych ideałów.

I gdyby „stary szlachcic“ zamiast pytania: dokąd dążymy, wskazał dokąd dążyć powinniśmy, gdyby zawołał: już czas rozbudzić ducha i nową erę rozpocząć, przyklasnęlibyśmy mu wszyscy. Ale ochrzciwszy mianem „wystygłych“ ludzi, którym przez lata całe kładliśmy w uszy: „pracujcie, oszczędzajcie, zamknijcie się, bo w tem wasz ratunek,“ trzebaż koniecznie mieć na względzie okoliczności łagodzące, trzeba zrozumieć, że jednostronna działalność może być pozorowem wystudzeniem, ale sięgnąwszy w głąb ducha i charakteru, znajdziemy w nich zasoby dość poważne dla moralnych dążeń.

Uniesiony i rozżalony „stary szlachcic“ przegalopował w swym sądzie metę. I my belejemy nad drzemką ospałych i my potępiamy „przegniłych,“ których tak dobrze na Podolu, jak i w kraju całym znają wszyscy doskonale; ale w rozbudzenie pierwszych wierzymy, o drugich nam nie chodzi, bo droga do Monaco otwarta... Gdyby dla podtrzymania harmonii społecznej nie były potrzebne czynniki inteligentne, może nie zmartwilibyśmy się upadkiem dawnych „przewodników narodu.“ Niestety jednak, brak nam rozsadników cywilizacyi dla wsi jeszcze uśpionej, szukać też ich musimy wśród „podkomorzych dawnych lepszych czasów.“ Szukamy ich zaś i dlatego, że ciężka nauka życia wiele w nich wad i przesądów obaliła.

Na zakończenie jeszcze jedno słowo. „Stary szlachcic“ kocha kraj, lecz kocha go po swojemu i dlatego z po za gorących słów i uczuć jego dla rzeczy publicznej rozbrzmiewa fałszywa nuta żalu za utraconymi przywilejami i stanowiskiem.

My ani do pierwszych, ani do drugiego nie wzdychamy. Otwarte szranki nowego życia witamy hasłem wspólnej pracy, obalenia kastowości, uznaniem praw człowieka w przekonaniu, że umysły dość są przygotowane do wypełnienia programu społecznego, w którym nie znajdzie się miejsca dla przywilejów innych, jak zasługa osobista.

A jeśli nie skoro i nie ochotnie zabieramy się do dzieła, to zamiast potępienia i słów bezsilnej rozpaczy, budźmy, zachęcajmy i wskazujmy co chwila: *dokąd dążyć powinniśmy*.

Gozdawa.

UROCZYSTOŚCI KRAKOWSKIE.

Wrzesień, 1887.

I. Zjazd prawników i ekonomistów.

Przykra to dola z pod świeżych i suszą letnią nietkniętych hal tatrzańskich mknąć za podmuchem jesieni ku nizinie spieczonej, wyjałowionej, kurzliwej, ku powietrzu brzemiennemu miazmatami chemicznego rozkładu i chorobliwej cywilizacyi. Niespełna dzień jazdy! — a zmienia się otaczający cię żywioł, pryskają czary górskiej zieloności, by ustąpić miejsca brudnemu błękitowi nad brudniejszym jeszcze padołem.

Ale Kraków teraz wyjątkowo mniej cuchnie, niż zwykle. Wprawdzie jak dawniej wracającego z Podgórza witają cię tumany piasku i zasypują oczy, jak dawniej bole-

---

— Dzie bula?.. daj buli!.. — zaczęła znów piszczeć dziewczynka, nie mogąc się doczekać od brata spełnienia obietnicy.

— Zara!.. zara!.. czekaj ino, poszukam patyczka, to nim bułkę przysunę.

Chłopiec z podmurowania spuścił się na ziemię, a ja nagle usłyszałem płacz głośny i w szparze sztachet ujrzałem wielką, grubą i czarną rękę, która z łatwością uchwyciła odsuniętą bułkę i szybko cofnęła się za parkan...

— A do licha! — pomyślałem sobie — moje malcy odejdą bez chleba, ktoś im wlazł w drogę, pewnie także jak oni głodny, tylko od nich silniejszy. Wspiąłem się więc znów na palcach, stanąwszy na ławce i spojrzałem po za parkan ogrodu.

Do dziś dnia pamiętam dokładnie tę scenę; dziewczynka, płacząc, tuliła się do piersi chłopięcia, który ją swem wątłem ramieniem otoczył i z wyzywającą miną, drobną zaciśniętą piąstką, podniósłszy ją do góry, zdawał się grozić temu, co mu jego zdobycz zabierał.

— Oddaj!.. — zawołał — to nasze.

— Nasie!.. — powtarzała dziewczynka.

Tym, który bułkę w ręku trzymał, był Maksym; poznałem go, chociaż w tej chwili bladość zwyciężyła brud na jego twarzy osiadły, a dziwny, złośliwy uśmiech wykrzywił mu policzki i zmienił ich wyraz do niepoznania. Spojrzał na dzieci tak strasznie, aż mnie w ukryciu tchu w piersiach zabrakło i uczułem po raz pierwszy w życiu to wrażenie, które nazywa się strachem.

Chłopiec widocznie jednak z uczuciem tem był oswojony i podobnego mojemu wrażenia nie doznawał, bo piąstkę swą zaciśniętą potrząsnął i po raz drugi zawołał:

— Oddaj zaraz, to nasze!..

— Oddaj bulę — powtórzyła żałośliwie dziewczynka.

Uważałem, że gdy twarz Maksyma na głos chłopczyka chmurzyła się i wykrzywiała bardziej, rozjaśniał ją zupełnie żałosny głos dziewczynki. Powoli skurczone nerwowo mięśnie, w sposób właściwy fizyologicznym objawom gniewu, na skroniach, twarzy, około nosa i ust jego zaczęły się prostować, ostry i nieprzyjemny uśmiech, na łagodny się zmienił, a oczy mgłą zaszły.

— I ja też głodny — szepnął, ale takim głosem, jakby chciał się tłomaczyć z tego, co uczynił, a nie takim, jakby chciał powiedzieć: bułki wam nie dam i sam ją połknę...

I nagle rękę jakoś otworzył, a bułka potoczyła się po kamieniach i do rynsztoka napełnionego błotem wpadła.

Chłopiec i dziewczyna porwali się szybko, aby ją dogonić; zanim jednak wykonali swój plan, bułka napowrót znalazła się w rękach Maksyma. W dwóch palcach ją trzymał, przez pewien czas jakoś wahał się, co ma z nią uczynić — i z podełba spoglądał na dzieci, które tymczasem zalewały się łzami. Po chwili dopiero spokojnie o kaftan swój ocierać bułkę z błota począł. Twarz jego mieniła się bezustannie: to wrzała gniewem i straszną była, to przybierała łagodny, pełen zadowolenia wyraz.

— Daj bulę!.. — jeszcze żałośniej zawołała dziewczynka.

Okrzyk ten zdecydował go widocznie, bo raz jeszcze bułkę starannie wytarł, przełamał ją na dwie nierówne części, z których większą podał dziewczynce, mniejszą zaś chłopcu; następnie spojrzał raz jeszcze na dzieci, ręce w tył założył i poszedł dalej, nie oglądając się nawet po za sobą.

Gdy się oddalił, dzieci usiadły pod murem i zaczęły chciwie jeść swą zdobycz, na podobieństwo zgłodniałych wilków.

— A widzisz go — mówił chłopiec — musiał oddać, zląkł się mnie, ho, ho! byłbym ja mu dał...

— Idziś!.. powtórzyła dziewczynka i pałaszowała zadowolona swoją połowę.

(D. c. n.).

M. Wołowski.

śnie ściągają się nozdrza twoje, ale na ulicach dostrzegasz ruch niezwykły, na węgłach i parkanach barwne afisze i malowidła, na rynku tłumy przechodniów trącające się łokciami, szeregi fiakrów ustawione pod Sukiennicami. Snać — święto jakieś tchnęło nieznane, niecodzienne życie w nastroszone wieżycami kościelnemi cielsko potworu, rozłożonego nad mętną Wisłą.

Domysł to niezawodny. Stolica stańczyków gości w murach swoich przybyszów ze wszystkich dzielnic polskich. Przyjechali tutaj, ażeby wziąć udział w rozprawach „Pierwszego Zjazdu prawników i ekonomistów,“ zwiedzić „Wystawę krajową“ i popatrzeć na dzieła, które sztuka nasza w dwóch ostatnich lat dziesiątkach wydała, a rajcowie grodu w wielkiej i dobranej ilości skupili w salach Muzeum narodowego. Słowem, jest się czem zabawić, jest nad czem podumać, jest sposób zabicia czasu tak, iż poważne dzwony wieży Maryackiej i dźwięczna trąbka zegarowi wtórująca przebrzmiewają niepostrzeżenie.

Piękną była myśl zwołania rozproszonych po całym świecie sług Temidy, ażeby się wzajem poznali, zbliżyli do siebie, o ważniejszych sprawach pogadali. Przedtem już, a ostatnio w 1883 r. lwowianie o zjeździe podobnym marzyli, ale im się nie powiodło. Projekt dawno poczęty odgrzał gorącym swym temperamentem prof. Kasparek i dzisiaj ma prawo z dumą na adoptowanego przez się wychowańca spoglądać. Zapisało się na uczestników blizko 400 przedstawicieli prawa, zarówno jego teoryi, jak i praktyki, oraz nauki gospodarstwa społecznego, a zjechało się niewiele mniej, tak, iż wszelkie nadzieje w kongresie tym pokładane, ziściły się całkowicie. Nie znaczy to bynajmniej, że nauka i filozofia ustaw i norm odtąd nowymi pójdą torami — nie, minęły już czasy, kiedy od zjazdów domagano się reform i nieocenionych zdobyczy i inicyatorowie ostatniego dowiedli prawdziwie zdrowego rozsądku, że zawczasu zbyt wysokie pretensye i oczekiwania ogółu umiarkowali, bijąc głównie na doniosłość bliższego zapoznania się towarzyszów jednej broni. Wyznam, że mnie ten brak naciąganego patosu mile uderzył i na równi z wieloma kolegami przychylnie dla siebie usposobił. Czyż aż takiego trzeba było połechtania, czy sam fakt nie sprawiał wysokiego zadowolenia? Niewątpliwie — ale i największą radość zwarzyć przecie potrafi sztuczna powaga ślimaków z pod Wawelu.

Pod hasłem tedy mało urzędowem a bardziej prywatnem, przyjacielskiem, bez wymuszoności, odbywały się narady wspólne. Przyjemny był widok tego tłumu ożywionego; zapomniano na pewien czas buty i arogancyi, oddzielających zazwyczaj starszych i... bogatszych od maluczkich. Toć zebrał się tutaj w sporej wiązance kwiat inteligencyi, a pomny zasady jakiegoś operetkowego mędrca: „Bez kobiet, bez kobiet, to człowiek jak bez duszy!“ wszędzie, po za obrębem czynności poważniejszych, na raucie, bankiecie i w Wieliczce, okraszał się rozmyślnie eleganckimi strojami dam. A i godziny debatów miały urok niepospolity dla widza nieotrzaskanego z podobnemi uroczystościami. Przepyszna sala w *Collegium novum*, którąj patronuje Kopernik, co pędzlem Matejki odtworzony, natchnionem swem obliczem opromienia całą rzeszę, wizerunki osób znakomitych, zdobiące ściany i bogaty strop — wszystko to nadaje zgromadzeniu cechę estetyczną, odświętną i przetoławto można było znaleźć rozrywkę, gdy który z mówców zechciał nadużyć prawa głosu i zamiast minut dziesięciu lub dwudziestu, nudził słuchaczów półtoragodzinną, rozwodnioną prelekcyą.

Odczyty i roztrząsania w takich warunkach odbywające stę, trwały dwa dni. Czy były również mądre i pożyteczne, jak pozorami swymi ciekawe? Ja, skromny profan, nie śmiem o tem sądzić. Wiem tylko, że prawdziwych i głośnych luminarzów naszego prawnictwa zauważyłem niewielu. Daremnie szukałem po ławach i na liście członków Hubego Romualda, Spasowicza, Holewińskiego, Okolskiego, Budzińskiego i słynnych naszych praktyków, jak Brzezińscy, Flam, Wolf, Zaleski i inni silni tego świata. Wybitnieli jedynie p. Kirszrot oraz p. Wierzchlejski, który też chwilami przewodniczył obradom, a na resztę składali się galicyanie i w małej liczbie poznańczycy. Profesorowie Kasparek, Zoll, Kleczyński, Fierich Maurycy i inni. Nie zaliczam do nich, rozumie się, kilku znakomitości, które jedynie ze względu na wiek i zajmowane stanowiska kierowały lub brały udział w sterowaniu rozprawami, hr. August Cieszkowski, Julian Klaczko, dr. Józef Majer, rektor Łepkowski, prof. Kasznica, figurowali raczej dla uświetnienia zjazdu, aniżeli dla przechylenia szali jego postanowień w tę lub ową stronę.

Należy bowiem wiedzieć, że rozprawy nad każdym wnioskiem prowadzą do rezolucyi. O ile praktycznej — to już należy do znaczenia, jakie sfery rządzące do zjazdu przywiązywać zechcą. Po największej części są to pobożne życzenia, opinie zbiorowego ciała pół-naukowego, z któremi niewątpliwie państwo Habsburgów liczyć się powinno, ale miejmy nadzieję, że nie raczy. Przyrzekano, że niektóre uchwały w formie petycyj wniesione zostaną do rady państwa — przyszłość pokaże, czy to nie czcze obiecanki. Bądź co bądź zgodzono się powszechnie, iż Sejm powinien w kwestyach prawodawczych zasięgać zdania wydziałów prawnych obu wszechnic galicyjskich. I to już nabytek nielada. Niekiedy zjazd przesłepiał, że nie wszystkie zagadnienia mogą posiadać doniosłość bezpośrednio praktyczną i *quand même* pragnął dyskusye wieńczyć uchwałami. Tak np. prof. Kasznica dotknął ważnego przedmiotu: rozszerzenia programu nauk prawnych na uniwersytetach i za wszelką cenę chciał kołatać o zmianę nazwy dotychczasowej na miano „wydziału nauk społecznych.“ Cała błahość pomysłu była widoczną i tylko odstręczała słuchaczów od jądra tematu. Choroba to brzydka naszego prawnictwa, że jest ślepe i głuche na owe sprężyny społeczne, na ów labirynt faktów socyologicznych, którym ustawa dopiero byt swój zawdzięcza. Adwokaci, sędziowie, notaryusze znają artykuły kodeksów, a pojęcia częstokroć nie mają o zasadniczych prawach bytu państwowego i wogóle gromadnego. Ten brak fatalny, utrzymujący w ciemnocie i rzemieślniczej jednostronności cały świat prawniczy, gwałtownie domaga się zapełnienia. Prof. Kasznica raczej przeczuł go niż uświadomił sobie, albowiem wyłuszczył zebranym tak nieudolnie, rzec można, niezdarnie, że w sposób skandaliczny nieledwie, bo opuszczeniem sali chyłkowem, wyrażali swe zniecierpliwienie. Już to wogóle szanowny dziekan zemścił się okrutnie na byłych swych uczniach. Niegdyś starannie unikali jego wykładów, by nie słyszeć bezustannych waryacyj na temat wstępu do encyklopedyi nauk politycznych i prawnych — ale przyszła kreska na Matyska, przydybał ich nieboraków w chwili, gdy się tego najmniej spodziewali i wynagrodził sobie hojnie pustkę warszawskiego audytoryum! A szkoda wielka! Odjął kredyt bronionej przez się sprawie, nie wtajemniczył należycie w jej olbrzymią doniosłość, rozzuchwalił blagierów i nieuków do spierania się bez najmniejszych po temu danych o to: czy socyologia jest nauką poważną, czy nie, czy zasługuje, by ją wcielono do programu nauk wyższych? Chyba nigdy jeszcze o mury uniwersytetów nie obijały się takie jak wówczas brednie, chyba nigdy jeszcze tak deptaną i poniewieraną nie była zasada: *ne sutor ultra crepidam* — czy nie prawda p. Lipowski? Jakiż koniec? Odrzucono wniosek referenta — to szkoda niewielka, ale to gorsza, że najwidoczniej zdrowe ziarno jego myśli, ukryte w plewach, razem z niemi wyrzucone zostało i za plewy przez ogół poczytane.

Na szczęście rozprawy nad wnioskiem powyższym były tylko fałszywym prognostykiem dla reszty posiedzeń. Inne zagadnienia natury ogólniejszej rozbierane były z zapałem i energią. Dr. Lewicki żądał zreformowania ustroju gminnego w Galicyi, odosabniającego obszary dworskie od samych gmin i znalazł gorące poparcie u większości wybitniejszych uczestników Zjazdu. Ujawnił się jasno prąd szczerze demokratyczny i zwyciężyło przekonanie, że rozdział dworów i chat tworzy samolubstwo, separatyzm i tym podobne czynniki rozkładowe. Spokojnie, a zwłaszcza dojrzale zwrócił na to wszystko uwagę prof. Kleczyński, mówca oczywiście gruntowny, choć mało liczący na efekt. Niemniejszem ożywieniem odznaczały się rozprawy nad słownikiem prawniczym, wszczęte na wniosek prof. Balzera. Dowodził on potrzeby ułożenia dwóch właściwie terminologij, nowej i dawnej, a to dla zyskania możności umiejętnego odświeżania przestarzałych wyrażeń, bądź też zasilania języka nowszego archaicznym. Tego samego przedmiotu dotknąć miał i p. Dunin z Warszawy, którego też referat łącznie z poprzednim był rozpatrywany. Pan Parczewski z Kalisza uskarżał się na niejednostajność mowy prawniczej, używanej w krajach polskich trzech państw ościennych i proponował zaprowadzenie w tym względzie ładu przy pomocy języka, praktykowanego w Królestwie Polskiem.

Sympatycznym również był występ prof. Kasparka, wzywający do tworzenia towarzystw prawniczych miejscowych, oraz utrzymywania żywej pomiędzy niemi jedności. Zbyteczna dodawać, że i ten uzyskał dostateczne poparcie Zjazdu i wnet przyoblekł się w postulat praktyczny.

Na tem jednak nie kończy się szereg motywów ogólnych. Doba dzisiejsza nastręcza ich mnóstwo, a stosunków w Poznańskiem wprost niepodobna było pominąć milczeniem. Niejeden też z uczestników czytając program dyskusyj, cieszył się zawczasu myślą, iż prostytucya ekonomiczna zniemczałych ziomków naszych przyjdzie na stół i może potępioną zostanie; a klątwa rzucona przez tak liczne i poważne grono obywateli byłaby przecież protestem donośnym. Złudzenie! Tak daleko ani odwaga cywilna, ani poczucie interesów publicznych w Galicyi nie sięga. Skończyło się — a była obawa, że się nie skończy — na sążnistym odczycie p. Donimirskiego o potrzebie kolonizacyi wewnętrznej w prowincyach pruskich. Nie wiem, czy kto posiadał męztwo wytrwania do kresu tej żmudnej tyrady, gdzie zamiast niezbędnego w takich razach ognia, treściwości i dosadnych barw, czuło się wodę, flegmę i blade przedstawienie rzeczy. A jednak sam wniosek, zapożyczony od ekonomistów niemieckich, ma wagę wielką. Radzi on rozdrabniać własność większą i odsprzedawać drobnym właścicielom, by tym sposobem powiększyć liczbę posiadaczów ziemskich, a zarazem — tak przynajmniej należy się domyślać — osłabić nęt magnetyczny talarów Bismarkowskich. Pan Bloch poszedł nieco dalej, gdyż słusznie doradzał nawet niezrujnowanym ziemianom odsprzedawanie trudniejszych do uprawy łanów chłopom. Osobnej komisyi powierzono dokładne opracowanie ważnych tych projektów, z zachowaniem wszakże należytej kokieteryi wobec własności ziemskiej, dokoła której obadwaj mówcy ostrożnie bardzo lawirowali.

Dwa jeszcze wnioski zmierzały do zaciśnięcia osłabłych węzłów pomiędzy rolnikami a ziemią. Strasznie widać korci ich do frunięcia na skrzydłach motylich het daleko od domowej zagrody! Dr. Skarzyński z Poznania dowodził potrzeby i możliwości zreformowania kredytu ziemskiego w drodze konwersyi listów zastawnych na banknoty ziemskie. Myśl swą przeprowadza

umiejętnie i z widoczną znajomością rzeczy. Dr. Wilkosz, p. Bloch i... nieustraszony p. Lipowski byli oponentami. P. Tałasiewicz zaś z Wadowic wskazywał na konieczność umocnienia własności włościańskiej w Galicyi.

Widzisz więc, czytelniku, że rozpraw żywotnych, odpowiadających palącym sprawom dnia nie brakło. Łatwo dostrzedz, że rozpadają się one wogólności na dwa działy. Jedne mają na celu leczenie chorób ekonomicznych narodu, inne zaś ujednostajnienie prawodawstw, obowiązujących w trzech odłamach społeczeństwa polskiego. Niektóre wnioski wprost podają środki zaradcze. Tak np. prof. Kasparek wzywa do troskliwego zajęcia się prawem międzynarodowem, proponuje uproszczenie postępowania spadkowego w wypadkach, gdy się ścierają przepisy różnych państw, dr. Till narzeka na trudności, z jakiemi połączonem bywa uwierzytelnianie dokumentów obcokrajowych itd. Słowem, zbliżenie wzajemne praw i prawników silnie zostało podkreślone. Co prawda, w obradach Zjazdu czernieje jedna wielka luka — kwestyi socyalnej, i nie pozwala wyniość wrażenia zaokrąglonej całości. Tego sfinksa ekonomicznego, na którego z niepokojem i zaciekawieniem patrzy cała Europa, nie tknięto, ani nawet zlekka poruszono. Dziwna doprawdy wstrzemięźliwość! Zjazd dokazał tem sztuki nielada — tańczył wśród mieczów, a nie zadrasnął się ani razu. Lecz cóż chcecie? Możnaż wymagać od ludzi, którzy na wniosek dopełnienia nauk prawnych społecznemi, ziewają aż do trzaskania szczęk, ażeby się wdawali w jakieś tam zawiłości socyalne?

Reszta obrad dotyczyła już spraw bardziej specyalnych, jak procedury cywilnej, od której rozszerzenia prawa apelacyi żądał dr. M. Fierich, jak dziejów skarbowości, których moment ważny, mianowicie reformy Sejmu czteroletniego podnosił dr. Leo, jak zgromadzeń gminnych, których potrzebę zaznaczał adw. Konic z Warszawy.

Oto główna istota czynności Zjazdu, a może i jego charakterystyka. Pisma codzienne zapewne podały już szczegółowe sprawozdania. Mnie chodzi więcej o rzut oka ogólny, o przekazanie pamięci notatki syntetycznej a zwięzłej. Za dwa lata Zjazd ma się powtórzyć we Lwowie; zobaczymy, czy zbierze on jakiekolwiek owoce po swoim poprzedniku, który pełen dobrych chęci, wyznaczył komisyę dla sumiennego opracowania wszystkich nierozstrzygniętych wątpliwości... Cicho, sceptycyzmie, siedź i skrzywionych rysów satyra nie pokazuj!

Być może, iż popełniłem w opisie jaką niedokładność, nie uczciwszy, jak przystało, wszystkich mówców i referentów. Ale nie o to chodzi—to pierwsze, a powtóre, jak mizernie wyglądało tam krasomówstwo! Prócz samych inicyatorów Zjazdu, niewielu wypowiadało swe teorye ładnie i składnie. Nawiasem dodać muszę, iż prof. Kasparek jest osobistością nader sympatyczną: naturalny, swobodny, żywy, krępującym formom niechętny, w wykładzie wolny od pretensyi, a zamiłowany w zwięzłości. Prof. Zoll, drugi promotor, to już mówca parlamentarny, pełen maniery trybunowej, gładki w wyrażaniu się, arcykapłan Zjazdu, kornie bijący pokłony wszystkim bogom Olimpu i Erebu, poczynając od tych, którym przysługuje tytuł „excelencyi...“

Cezary Jellenta.

SPRAWY EKONOMICZNE.

NAWRÓCENIE.

W samem założeniu obrad krakowskiego zjazdu prawników nad kolonizacyą wewnętrzną Poznańskiego i Prus, a właściwie nad tamtejszym bankiem ziemskim, leżało uznanie faktu, że ta instytucya potrzebuje rady familijnej i opieki zewnętrznej. Chociaż wyznaczona do tej sprawy komisya nie wypracowała żadnego projektu szczegółowego i poprzestała na „wyrażeniu zdania“ ogólnikowego; chociaż nikt w niej nie przedstawił nowego i umiejętnie rozwiniętego pomysłu, uchwała jej wszakże stwierdza, że na poznańskim wyłomie walczyć i częściowe zwycięztwa odnosić można.

Pobudkę do narad dał dr A. Donimirski. Ze względu na ważność kwestyi oddano ją do zbadania osobnej komisyi, która postawiła sobie pytanie następujące: „Czy zlikwidowanie tej części większych własności ziemskich w W. Księstwie Poznańskiem i Prusach zachodnich, które w dotychczasowych rozmiarach utrzymać się nie mogą, ma stanowić tylko przedmiot *osobistej działalności* interesowanych lub czy też w obecnej chwili *społeczeństwo* nasze winno i mogłoby im tę czynność skutecznie ułatwić?“

Pytanie to zadali sobie ludzie trzeźwi, adwokaci i finansiści, więc musieli odpowiedzieć jednomyślnie: społeczeństwo powołać można do uczestnictwa w tej likwidacyi tylko pod warunkiem, że kapitał na to potrzebny nie byłby narażony na żadne straty i przynosiłby skromny dochód? Otóż czy ten warunek leży w zakresie możliwości? Według komisyi, własność ziemska mniejsza znajduje się dziś w lepszem położeniu; rozkupując przeto większą, drobni posiadacze zarabialiby i byli wypłacalnymi. Posiadacze ci przeważnie wyszliby z ludności miejscowej, do której przyłączyłby się również Szlązk Górny.

Rozbierając sposoby pozyskania kapitałów, komisya uznała, że ich bezpośredni przypływ z rąk prywatnych, nawet wrazie zupełnego bezpieczeństwa, byłby utrudnionym, że więc tu pośredniczyć winna instytucya finansowa. Pragnący korzystać z jej usług musiałby zapewnić jej zwrot kosztów i wypłatę prowizyi. „Bank ziemski w Poznaniu, przy ograniczeniu sfery działań do tych rozmiarów (parcelowania i sprzedaży działek) w zupełności odpowiedzieć zdoła powyższym zadaniom, a oddając poważne usługi gospodarstwu społecznemu i jednostkom, według przybliżonych obliczeń, przynosić może akcyonaryuszom przy zupełnem bezpieczeństwie odpowiedni, acz skromny procent.“ Byłoby wszakże pożądanem powiększenie liczby członków rady nadzorczej oraz ustanowienie powiatowych kółek obywatelskich, któreby mu służyły za organa informacyjne i kontrolujące przy przeprowadzaniu parcelacyi.

W końcu zastanawiając się nad wysokością niezbędnego dla rozpoczęcia kapitału, komisya uznała, że pierwotnie oznaczony (3 miliony marek) nie jest zbyt wysokim, ale nawet zebrany w mniejszej mierze nie powinien by wstrzymywać pracy banku. Uwaga bardzo słuszna i bardzo w porę do Poznania przesłana.

Ostatecznie zjazd uchwalił:

I. Kolonizacya wewnętrzna, t. j. podział pojedynczych folwarków większej własności na pewną ilość samoistnych jednostek gospodarczych, jest *pożądaną*, ponieważ wytwarza *większą ilość* właścicieli ziemskich.

II. Nie powinna ona mieć na celu *pochłonięcia* większej własności, której istnienie tak dla stosunków ekonomicznych, jako i społecznych, zwłaszcza we wszystkich dzielnicach kraju naszego, jest konieczną.

III. Dla zagrożonych ekonomiczną ruiną właścicieli ziemskich, kolonizacya, racyonalnie przeprowadzona, jest częstokroć jedynym sposobem zlikwidowania się, bez uszczerbku dla ekonomicznych stosunków kraju.

IV. W obecnych stosunkach w. księztwa Poznańskiego i Prus zachodnich kolonizacya, przeprowadzona w sposób właściwy przez obecnych właścicieli, najwięcej się może przyczynić do utrzymania ziemi w ręku krajowców.

Czy też ludzie, którzy te wnioski uchwalali i którzy je z oklaskiem przyjmują, pomyśleli, że uchwalili i przyjęli to, co w podobnych wypadkach i w tym od lat wielu głoszą pisma postępowe a między niemi *Prawda*? Czy im przemknęło przez głowę, że te same twierdzenia, dopóki brzmiały w kolumnach naszych i dopóki ich konieczność nie podyktowała, były przedmiotem napaści, drwin i posądzeń krzywdzących? Czy nie my dowodziliśmy ciągle, że parcelacya jest często „jedynym sposobem zlikwidowania“ i „utrzymania ziemi w ręku krajowców?“ Czy nie my przemawialiśmy za „wytworzeniem większej ilości właścicieli ziemskich?“ Czy nie my wreszcie wskazywaliśmy, że bank ziemski w Poznaniu winien nie pomnażać długi szlacheckie, ale dać środki chłopom w nabywaniu ziemi? I oto prawie wszystkie nasze wywody zostały uroczyście zatwierdzone, a ogół prawomyślny zapisuje dziś do swego katechizmu między artykuły wiary te zasady społeczno-ekonomiczne, które przez usta swych poświęcanych kapłanów wyklinał. Pouczające widowisko, a zarazem wymowna przestroga, jak dalece w sprawach publicznych należy baczyć *co*, ale nie *kto* mówi, i nie ufać stereotypowej paplaninie, której najpoważniejszym argumentem jest jej rozgłos w świecie papug.

BADANIA NAUKOWE.

WADY OBECNEGO WYCHOWANIA *).

Każda żyjąca jednostka w swym samorozwoju powtarza jedynie w skróceniu fazy, przez które przechodził świat organiczny przed wyłonieniem rozpatrywanej formy gatunkowej **). Biolog wypowiada tę zasadę w sposób następujący: rozwój ontogenetyczny stanowi streszczenie fylogenetycznego. I człowiek nie stanowi wyjątku z pod tego prawa. Płód ludzki na samym wstępie przedstawia prostą komórkę, odpowiadającą monerze; wskutek jej podziału powstaje kolonia komórek, przebywająca rozmaite kształty, od niższych, bezkręgowych, do wyższych, kręgowych. Lecz podobne, skrócone powtórzenie przeszłości ma miejsce nietylko wśród fizycznej natury człowieka; i jego rozwój psychiczny nie wyłamuje się z pod wypowiedzianej zasady. Jednostka w swym rozwoju umysłowym streszcza jedynie dotychczasowy psychiczny tej grupy rodu ludzkiego, z której pochodzi. W pierwszych chwilach, po przyjściu na świat, nie włada jeszcze nawet najważniejszą cechą ludzkości — mową członkowaną; na swe rozkazy posiada jedynie odruchy dźwiękowe, którymi odpowiada na ból, głód i inne podrażnienia; w miarę przebudzania się zmysłów i zdobywania doświadczenia, w jej mózgu rodzą się liczniejsze idee, prowadzące, pod bodźcem naśladownictwa, do wyładowywania się za pośrednictwem członkowanych dźwięków. W przeciągu długich lat umysłowość dziecka odznacza się całą prostotą człowieka dzikiego: widoki przyrody wywierają silne wrażenie, zdolność uogólniania i abstrakcyjna są słabe, ciekawość i naśladownictwo górują nad innymi stanami, długo skupiana uwaga na tym samym przedmiocie sprowadza znużenie. Powoli, krok za krokiem, opuszcza ono fazę trawienia, przebiega po przez zmysłowo-uczuciową i wreszcie wkracza w umysłową. Jeżeli rozwój kroczy prawidłowo,

*) Według Bordiera: *La vie des sociétés.*

**) Fałszywego i dość bezmyślnie powtarzanego twierdzenia czytelnik niech przypadkiem nie zapisze na nasz rachunek. *Red.*

dosięga ono normalnego ukształtowania umysłowości; ale, jak tegoczesna sztuka hodowlana pozwala z jaj wytwarzać sztuczne potwory, podobnież da się skrzywić i rozwój psychiczny — między innemi to się zdarza, kiedy pedagog nie uwzględnia powyżej skreślonego przebiegu rozwoju i z niedojrzałego jeszcze mózgu chce wydobyć przedwczesne płody lub kiedy utrwala jakąś fazę przejściową przez wpajanie odpowiednich idej. I oto, wychodząc z powyższego prawa ewolucyi organicznej, otrzymujemy najważniejszą zasadę wychowawczą: pedagog powinien prowadzić umysł dziecięcy po drodze, po której kroczyła sama ludzkość przy zdobywaniu wiedzy i rozszerzaniu mózgu(!). Już Condillac streścił tę prawdę w wyrzeczeniu, iż dziecko należy kształcić w sposób, w jaki ludzie doszli do stworzenia nauki i sztuk. Niech nauczyciel je prowadzi od odkrycia do odkrycia, jak gdyby samo wynajdowało; w tem streszcza się cała nauka o wychowaniu umysłowem.

W wychowaniu przedewszystkiem iść winno o ukształtowanie, udoskonalenie i utrzymanie w dobrym stanie dróg, dostarczających mózgowi pierwiastków do myślenia — mianowicie o wykształcenie zmysłów. W imię zdrowotności umysłu i ciała, wychowanie fizyczne winno poprzedzić każde inne. Jedynie z braku ćwiczeń strony fizycznej pochodzą ci malcy nerwowi, anemiczni, którzy, doszedłszy do dojrzałości, wiodą społeczeństwo do zwyrodnienia i zniedołężnienia. A tymczasem obecnie panujące systemy pedagogiczne zwracają uwagę wyłącznie na rozwinięcie jednego zaledwie organu — mózgu. W kształceniu ręki, ramienia, żołądka, widzi się coś poniżającego i unieszlachetniającego. Jak gdyby zdrowotność i dzielność anatomiczna nie stanowiły najpierwotniejszego warunku organicznego. Ale filozofia spirytualistyczna, która przewodniczyła dotychczas wychowaniu i jeszcze obecnie posiada głos rozstrygający, zawyrokowała inaczej. Dlaczego? Ponieważ rozpatrywała umysłowość, jako zjawisko niezależne od podścieliska materyalnego, jako kategoryę samoistną, posiadającą własne prawa. Z tego źródła wypływa mnóstwo najbardziej opłakanych następstw, z któremi tegoczesna wiedza o człowieku musi ciężko się borykać, a które nie wiadomo kiedy usunie. Ileż to bowiem spotyka się nauczycieli, którzy, uznając pożyteczność gimnastyki fizycznej dla prawidłowej działalności żołądka, gotowi są wybuchnąć pogardliwym śmiechem, jeżeli ktoś dowodzić będzie niezbędności tego samego środka, gdy chodzi o mózg i wytworzenie idej! Weźmy dla przykładu Francyę. Tamtejszy pedagog zna jedynie zalecanie karności, cichości i nieruchliwości. Zmusza on dziecko do siedzenia, bez dłuższej przerwy, przez kilka godzin, w ciasnej i ponurej klatce, bez ruchu, w nużącem natężeniu uwagi na mało powabne wykłady, z oczami nieruchomie utkwionemi w książkę. Ćwiczenia fizyczne wykluczono z liczby przedmiotów przymusowych, jakkolwiek zawarto w niej inne, zgoła niepożyteczne rzeczy. Każdy ruch żywszy, każde głośniejsze słowo uchodzi za ciężkie przewinienie, a jednak są to konieczne objawy wyładowywania się energii dziecięcego organizmu. Za najwymowniejszy dowód niestosowności takiego postępowania może starczyć powstrzymanie rośnięcia, sprowadzane przez naukę szkolną, a zauważone przez Galtona. Z licznych pomiarów, dokonanych w tej mierze nad dziesięcioletnimi malcami, okazuje się, iż dzieci w tym okresie życia wyrastają w ciągu roku na 6 centymetrów — przez 10 miesięcy szkolnych wykładów organizm robi jedynie 2 ctm., pozostałe zaś cztery dogania podczas wakacyj. Coż powiedzianoby o ogrodniku, który przez 10 miesięcy w roku trzymałby roślinę w takich niesprzyjających warunkach? A jednakże zasady podobne stosuje się systematycznie do dzieci. Również niekorzystne świadectwo wydają prace dr. Langneau, który poprzedził poszukiwania względem wpływu wychowania szkolnego na zdolność do służby wojskowej. Otóż na 1,000 zwykłych rekrutów wypada 560 zadawalniających stawiane wymagania, wówczas gdy na tę samą cyfrę z liczby młodzieńców, którzy otrzymali stopień bakałarza, dostaje my zaledwie 425. Mimowoli rodzi się pytanie, jakim sposobem prawodawstwo, które przecie bierze pod opiekę dzieci pracujące w fabrykach, pozostawia bez dozoru kuźnie młodocianych umysłów, zwane szkołami, co koszlawią dziecięcy organizm, zmniejszają dzielność fizyczną i siłę rozpłodczą narodu, zwiększając natomiast śmiertelność porodową i częstość poronień? Szkoła obecna zabija nietylko kształcące się pokolenia, ale i ich potomstwo, jeszcze przed dostaniem go w swe uściski. A jednakże racyonalny rozkład lekcyj, przymusowe przeplatanie ćwiczeń umysłowych kształceniem głosu i wyrabianiem mięśni, już to jedno zapobiegłoby w wielkiej mierze zwyrodnieniu dziatwy szkolnej. Dowodów pożyteczności tego środka nie potrzebujemy daleko szukać. Pięciomiesięczna, systematycznie prowadzona gimnastyka w jednej szkole wydała następujące owoce: u 82% uczniów obwód ramienia przy zgięciu lokciowem zwiększył się o 1.22 centymetrów, u 63% obwód uda o 1.38, u 86% siła w podnoszeniu ciężarów na 28 kilo. Najlepszym jednak środkiem byłoby wprowadzenie przymusowe nauki rzemiosł; to miałoby jeszcze silne wpływy moralne, gdyż praca fizyczna w szkole zdjęłaby ostatecznie pogardę, którą jeszcze otacza rzemieślników. Już Diderot wypowiedział pedagogiczne znaczenie nauki rzemiosł, w całej jego doniosłości: „Sądzę, że należałoby obywatelowi udzielać w szkole wszystkich niezbędnych wiadomości, od prawodawstwa aż do rzemiosła. Znajomość różnych sposobów, przez które przysparza się korzyści społeczeństwu, jest pożądaną; co więcej, takie wiadomości posiadają naturalny urok dla dziatwy, której najwybitniejszem znamieniem jest ciekawość.“

Poświęcono najzupełniej zdrowie dziecka. Możnaby wszakże darować takie nierozumne postępowanie, gdyby przytępienie organów fizycznych opłacało się należytem uprawianiem i wzbogaceniem mózgu. Nadaremniebyśmy przecież oglądali się za czemś podobnem. Społeczeństwa europejskie zaszły jeszcze niedaleko na tej drodze. Istnieją ludy dzikie, które, dla przygotowania dziecka do spełniania pewnych godności społecznych (np. kapłańskich), obciągają głowę bandażami, to w celu zaostrzenia jej wierzchołka, to znów spłaszczenia; skrzywienie czaszki nie pozostaje bez wpływu na sam mózg, gdyż przyległe zrazy ulegają niejakiemu zwyrodnieniu. Jakkolwiek to kształtowanie czaszki wyszło u nas z zwyczaju, jednakże osiągamy te same skutki. Cała różnica polega na tem, żeśmy zmienili sposoby brania się do rzeczy; zamiast bandażami, wykoszlawiamy mózg przez przepełnianie sylogizmami. Każemy dziatwie bełkotać niedorzeczności, z których sami się śmiejemy; wykładamy nauki ścisłe, oparte na stałej przyczynowości zjawisk i jednocześnie wpajamy zasady nadprzyrodzoności; przepełniamy młodocianą głowę wiadomościami nad siły i zapraszamy do przedwczesnych ćwiczeń. Już ze źrebakami obchodzimy się lepiej, gdyż nie obciążamy grzbietów, dopóki kolumna pacierzowa nie zdobędzie wymaganej krzepkości. Rezultaty takiego postępowania są nad wszelki wyraz opłakane. Mnóstwo uczniów złamano w ten sposób na całe życie. Umysł, pochłaniając zbyt wiele i to w postaci przygotowanego już pokarmu, przywyka do chodzenia jedynie o cudzej pomocy i polegania na powagach. Zmuszając do nadmiernej pracy, niszczymy znów siły fizyczne. Dr. Charcot z naciskiem zaznacza, że wycieńczenie nerwowe, rozmiękczenie mózgu i suchoty zdarzają się najczęściej u najlepszych uczniów; kończący znowu paryską szkołę politechniczną, znaną z wymagań, dostarczają największego w społeczeństwie procentu obłąkanych. Co więcej, wiadomości, w których imieniu targamy zdrowie fizyczne i dzielność umysłową, najczęściej nie mają nic wspólnego z życiem; zwraca się bowiem oczy uczniów uporczywie w strony dalekiej przeszłości, nieposiadającej większego znaczenia. Do tego dołącza się szablonowość wykształcenia, jednaka dla wszystkich dzieci, bez względu na zdolności i upodobania. Podaje się to samo pożywienie wszystkim umysłom, wbrew chęciom i łaknieniom indywidualnym. Ten koszarowy system niszczy wszelką samoistność, odbiera umysłowi poczucie indywidualności i w jednostce wyrabia uczucia poddańcze względem państwa, tej instytucyi, która wszystko gotowa ułożyć w ramki biurokratycznego formalizmu.

Streszczając stan tegoczesnego wychowania szkolnego, widzimy, że usiłuje wykroić z ludzi jakieś maryonetki, odpowiednio do przebrzmiałych czasów, zgoła nie myśląc o przygotowaniu do walki życiowej. Co więcej, rujnuje ono systematycznie zdrowie fizyczne i rozwój umysłowy mnóstwa ludzi. Rutyna, mimo tylu usiłowań ze strony myślicieli, wciąż góruje w pedagogice; zasady, które winny spoczywać w jej podstawie, uchodzą za dążności zbyt śmiałe lub przewrotowe! Hygiena społeczna, zamiast poparcia ze strony wychowania, musi przeciw niemu walczyć. Winno ono harmonijnie ukształtować umysł dziecka, stosownie do wymagań otoczenia społecznego; tymczasem bez przerwy lepi manekinów na wzór dawno ubiegłych czasów i ideałów. W tem zresztą zawiniło całe społeczeństwo, utrzymując starannie jedną swoją połowę w ciemnocie. Kobieta wciąż pozostaje na uboczu: niski stan umysłowości stanowi tutaj zasadę. Jest to najwyższej doniosłości przeszkoda na drodze postępu, starannie pielęgnowana przez kler, który za nią jakby za szańcem chowa się w chwilach niebezpieczeństwa. Jeżeli wielkie dziejowe chwile Francyi nie wydały spodziewanego plonu, to dla tego, że siostry, córki i matki pozostały obcemi zbudzonym wtedy ideom i uczuciom. Zostawiono kobiety w nieuctwie i przesądach — oto źródło niepowodzenia. Ich ciemnota zwraca się zawsze przeciwko zamiarom swobody i wiedzy, targa wszystkie projekty rozumniejszego systemu wychowania.

Lud. Krz.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ROSYJSKA.

Humorystyka i satyra. — Palmin. — Literatura dziecinna. — Spekulanci.

Gdybyśmy chcieli obecną humorystykę i satyrę polską porównać z rosyjską, niewątpliwie wyszlibyśmy blado. Wszakże ta nam pociecha zostaje, że przewaga tkwi nie w zdolnościach, lecz w odmiennem położeniu społecznem. Tam samodzielność polityczna i swoboda pozwala ujawniać się humorowi i satyrze w formie jaskrawej; zresztą bogaty materyał do spostrzeżeń nigdy się nie wyczerpie. Wszystkie warstwy społeczne od szczytu do podnóża posiadają tyle pierwiastków pobudzających do sarkazmu, że wrażliwy może się żółcią i śmiechem zalać. W takich warunkach rosyjskie pisma humorystyczne mają racyę bytu i powodzenie. Wybitne miejsce zajmują *Oskołki*; przy nich się gromadzą większe siły w tym zakresie, poczynając od samego redaktora, który czterysta szkiców z natury napisał. Jego nieodstępny i serdeczny satelita — Palmin, poeta, zyskał sobie popularność

zbiorem utworów p. t. *Kwiaty i żmije*. Pierwsze nie odznaczają się niczem szczególnem, drugie — mogą autorowi trwałą zapewnić sławę. Spostrzegacz wad ludzkich wyborny. Nie oszczędza nikogo, nawet takich, przed którymi większość maluczkich karki zgina. Perłą utworów jest: *Myśl*. Nie chcąc jej kaleczyć niezdarnym przekładem rymowanym, podaję w prozie: „W ciszy wieczornej, zdobna w barwy tęczowe, spłynęła ku mnie świetlana idea, jak dziecię swawolne. Jej piękne oczy pałały uczuciem i rozumem. Wieniec z gwiazd, jak w bajce lśnił na jej czole dziwiczem. Pojmawszy ją ręką, drżącą w wiersz ubrałem. Ale, niestety! jej szata jaskrawa, zanadto była odkryta i śmiała... Czy się nie zaziębisz w druku, dziecię moje? spytałem troskliwie, i jak ojciec, ubrałem ją w kaftan na wacie, pończochy, kalosze i czepek. A cenzor poczciwy w roli stryjaszka, dla większej skromności, warkocze złote jej uciął i gwiazdy zdjął z czoła... I oto pomknęła jak strzała do druku. Lecz cóż się, dziecię moje, dzieje z tobą. Poznać cię nie mogę wcale! Blada... Z pod czepca i waty wyglądasz jak staruszka i tylko kropkami sypiesz bez końca... Nic! nic taką, klnę się, byłaś ty ze mną w ciszy samotnej!...“ Palmin nie oszczędza swych braci — literatów, ani pola, na którem pracuje — dziennikarstwa. Oto przykłady:

Poetów czeredą ochoczą
Kipi dzisiaj cała Rosya,
W dziennikach pieśniarze bój toczą
A głos ich od szpalt się odbija.
O, Helikonu wy rycerze,
Prawda, że Apollo was rodzi —
— Rzec tak ochota mię bierze.
Nie wątpię, druhowie wy młodzi
Ale ojczulek wasz był krewki
Nie bardzo też wybredny przy tem,
Bo z kuchni albo pralni dziewki
Znały się z jego apetytem...
Wy dzieci jego, bez wątpienia
Lecz z waszych, niestety, gardzieli
Nie ojcowskie ja słyszę pienia
Ale matczyne, po kądzieli!...

Przytaczam charakterystyczny ustęp z wiersza p. t. „Dziennikarstwo,“ który, niestety, i do naszej prasy może być w części zastosowanym:

Wszystko tam znajdziesz, co ci się zamarzy:
Obok garkuchni Forum zajaśnieje,
A dalej buda policyjnej straży,
Lub ujrzysz czysto rycerskie turnieje.
Tendencyj wszelkich masz gryczaną kaszę,
Patryotyzmu, kwas w nosie zakręci —
Oto jest takie piśmiennictwo nasze
Oto, co u nas w gazetach się święci!
Na dziennikarskie olbrzymie przestrzenie
Gdy padnie nagle czasem światłość jaka
Idei, piękniej świecą te promienie
Niż nieobjęty karą figiel żaka...

Nie bardzo wdzięczna musi być poecie klasa urzędników wszelkiego rodzaju za wierne odtwarzanie ich postaci... Palmin póty się trzyma na wyżynie, póki krąży w obrębie satyry. Gdy się zapędzi w erotyczne krainy — maleje. Grzeszy często lubieżnością w obrazach, przypomina czasem Guy de Maupassanta, ale daleko po za nim zostaje. Chociaż jako dziecię swego narodu musi posiadać wiele jego cech, wszakże zbyt częste opiewanie z lubością koniaku, kieliszka i butelki, budzi niesmak w obcym czytelniku. W utworach P. rzadko się przejawia tkanka psychologiczna.

O ile nadobna literatura rosyjska bogata i oryginalna, o tyle dziecinna, uboga, słaba i prawie wyłącznie obcemzną trąci. Zagarnęli ją spekulanci. Jest mnóstwo przerabiaczów obcych utworów lub pismaków najpodrzędniejszego gatunku, którym bynajmniej nie chodzi o cele pedagogiczne. To samo się dzieje i w „prasie dziecinnej.“ *Mój dziennik* (pismo poświęcone modom i literaturze dla dziewczynek) nic posiada materyału swojskiego. Inne w połowie zapełnione są przekładami. Zobaczmy, jak wyglądają książeczki ilustrowane. W tekście dzieci i krajobrazy rosyjskie, a na rysunkach — niemieckie i francuskie. Spekulantom łatwiej jest tanio nabyć rysunki za granicą, a w kraju znaleźć *fabrykantów* do dorobienia treści ze ścisłem obliczeniem wierszów, tak iżby wszystkie opowiadania były jednostajnej miary. Śmielsi i oszczędniejsi karmią dzieci plagiatami. Wybierają strzępki z utworów pisarzów znanych, a na okładkach stawią swoje nazwiska. Tym sposobem dziecko uczy się nieraz na pamięć utworów jakiegoś Bielonsowa lub Czertiagina, nie wiedząc, że to są Puszkina, Kryłowa, lub innych znanych poetów. Dzieje się to dotychczas bezkarnie w całem państwie.

Zenon Pietkiewicz.

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE.

F. T. Vischer. Filozof i... poeta. Czy tak przeciwne siły łączą się kiedykolwiek w jednym człowieku? Nieraz—w złamanym. W dziejach literatury spotykamy często umysły widłowate, rozszczepione na dwa odmienne konary, a zawsze rozdziera je w młodości życie. Vischer urodził się i powinien był zostać poetą, lub artystą, ale matka, biedna wdowa po pastorze, kazała mu zostać teologiem. Stłumił więc swoje porywy do pędzla, do sztuki, i zaczął rozkopywać wielkie cmentarzysko wiedzy, ażeby kiedyś z trumien robić kolebki i kołysać w nich trupy. Ale — jak sam wyznaje — w tych studyach teologicznych osiągnął jeden tylko cel: zdławił swą młodość, przelawszy jej natchnienia w wierszach goryczą nasiąkłych. Po rozpaczliwych wysiłkach utrzymania się w rozpoczętym kierunku, gdy go nawet wiara dziecinna odbiegła, przeszedł na pole, na które dusza jego się wyrywała — do badań estetycznych. Zdał potrzebne egzamina i otrzymał w uniwersytecie katedrę. Gdyby nie owa zduszona młodość, gdyby nie przedwczesne zatopienie umysłu w morzu mar niepochwytnych, byłby Vischer napisał swoją *Estetykę* inaczej, nie zawiesił w powietrzu i nie wypełnił mgłami. Sam czuł to, upewniając, że go ona nigdy nie zadowolniła i że każdą kartkę wydrukowaną pragnął przekreślić. Zmysł piękna mu przywiądł, zascetyczniał, zachował tylko jakąś bezkrwistą wrażliwość. Zdobywał się na idealistyczne zachwyty, na uniesienia powietrzne. Uderzał w mury starej szkoły, ale ich nie burzył.

Nikt nie schodzi ze świata w wieku późnym, nie przebywszy okresu młodości. Czasem życie kolej swą na wspak wywraca, czasem owa młodość przypada na końcu. Doświadczył tego Vischer, który wtedy, kiedy inni gaszą iskry uczuć, zaczął je rozdmuchiwać, pisać romanse i wiersze. Ale babie lato muz nie bywa skwarnem. I płody też jego (*Auch Einer*, powieść, *Lyrische Gänge*) są potomstwem starej młodości, która mniej ma świeżych natchnień, a więcej dojrzałych myśli i satyrycznej cierpkości. W roku zeszłym Vischer, liczący już przeszło lat 80, napisał (pod pseudonymem Mistyficińskiego) parodyę drugiej części *Fausta*, o której mówiliśmy w *Prawdzie* szczegółowo. Drwił ostro, nieraz dowcipnie, ale znać było, że werwę przerywa ciągle kaszel umysłu zmęczonego, który zakwitł ponownie przed grobem, jak kasztan przed zimą.

Zmarł w Gmunden, w ślicznej miejscowości, której wdzięki zamierzał jeszcze w wierszach wysławiać.

Antonio Carra. Dziś już zatarło się w pamięci nazwisko zabójcy Karola III, księcia Parmy i Piacenzy. Fantastycznie wysnuł się wątek tego zdarzenia. Książe, z początku bardzo lubiany, wkrótce stał się przedmiotem ogólnej odrazy za swą powolność względem Austryi i ciemiężenie poddanych. Właściwie zaś namnożył sobie nieprzyjaciół rozpustą i uwodzeniem kobiet. Siodlarz Carra pokochał prześliczną dziewczynę, robotnicę z fabryki cygar. Karol, usłyszawszy o niej, zastawił sidła i złowił pawiczkę. Ugodzony jej odmową narzeczony poprzysiągł Don Juanowi zemstę. Poszedłszy na zebranie tajemnego związku „Giovane Italia,“ obradujące nad sposobami usunięcia Karola, oświadczył, że on sam go zabije. Po długich rozprawach zgodzono się. Gdy 26 marca 1854. książe wczesnym wieczorem wracał ze spaceru do pałacu w towarzystwie adjutanta (dotąd żyjącego gen. austryackiego Baccinetiego) Carra wbił mu w piersi sztylet i uciekł. Przelazłszy przez mur miejski, poszedł do bramy i poprosił strażnika o wpuszczenie go. Ten opierał się, ale wreszcie uległ a Carra w nagrodę za to posłał go po butelkę wina. Podczas jego nieobecności cofnął skazówkę zegaru o godzinę. Wypiwszy wino, odchodząc, wtrącił nieznacznie do rozmowy, która była godzina. Gdy go zaaresztowano, wyparł się i powołał na stróża bramy, że u niego wówczas przesiadywał, który naturalnie potwierdził zeznanie. Uwolniony wyjechał do Ameryki i osiadł w Filadelfii; tamtejsi jednak rodacy usunęli się od niego. W r. 1861 wrócił do Parmy, przyjęty i nagrodzony jako „ofiara tyranii;“ ale i tu zaczęto ze wstrętem odpychać mordercę. Odraza ta wygnała go znowu do Ameryki, gdzie zniknął i z zapomnienia wynurzył się dopiero konając w szpitalu.

Dr Holub słynny podróżnik afrykański, powrócił ze swą żoną do Europy. Już nie wytrwałość, ale chyba namiętność dodaje siły jego rodzaju ludziom w ich strasznych przedsięwzięciach. Zebrawszy podczas pierwszego pobytu (1872—9) w Afryce znaczny majątek, wybrał się przed czterema laty Holub w drugą podróż z młodziutką żoną i pięcioma żołnierzami. Przez ten czas stracił nietylko własne mienie, ale także hojne zasiłki cesarza austryackiego i przyjaciół. Wyszedłszy z południa posunął się ku północy o 316 mil ang. przez nieznane i niezwiedzane dotąd okolice. Główna trudność (i różnica w porównanin ze Stanleyem) jego podróży spoczywała w maleńkim orszaku, który mu nie pozwalał wkraczać śmiało wewnątrz pokoleń i zmuszał do przesuwania się obwodami. Że nie zginął, zawdzięcza to tylko swej sztuce lekarskiej, przez którą zyskiwał sobie względy krajowców. Żona dorównywała mu w odwadze i wytrwaniu. Nieraz trzeba było noce przepędzać ze strzelbami w ręku przy łóżku dzielnej kobiety, zniemożonej febrą. Raz dzicy zrabowali całą ich siedzibę. Śród największych niebezpieczeństw nieustraszona ta para, obdarta, bosa, zgłodniała, wycieńczona wróciła do Transvaalu z łupem w 154 skrzyniach, który wkrótce ma zbogacić zbiory naukowe Wiednia.

Falb. o ile się zdaje, chybił ze swą wróżbą wielkiej burzy i gwałtownych zmian atmosferycznych na 17 września. Mówimy— o ile się zdaje, gdyż tego rodzaju zjawiska nie mogą być przepowiadane ze ścisłością obliczeń astronomicznych. Zastanawiającą jest tu zgodność dwu badaczów. Prof. Wigginsa z Ameryki, który wyprorokował burze 9 marca 1883 i 26 stycznia 1884, zapowiedział również na 19 września r. b. wielki orkan. Dotąd telegraf nie przyniósł nam znikąd potwierdzenia tej wróżby. Inną, mianowicie trzęsienie ziemi, prorokuje Falb na 16 października. Czekajmy.

Hypnotyzm. Na ostatniem posiedzeniu Akademii lekarskiej w Paryżu Luys przedstawił rezultat szczególnych doświadczeń. Mianowicie osobnikom zahypnotyzowanym podsuwał on, nie dotykając, rozmaite trucizny, które działały na nich z oddali, wywołując skurcze, konwulsye itd.; podobnież osiągał skutek z alkoholów, sprawiających odurzenie. Wyznaczono komisyę dla sprawdzenia tych zadziwiających objawów.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Bank ziemski chce się ruszyć a p. Kamke ruszył się.— Niewdzięczny sprawunek.—Modlitwa —Otyłość *Gazety warsz.* — Doroczna wyprzedaż ziemi szlacheckiej.—Drugie pismo ogrodnicze.—Naiwny obywatel z pod Szawli. — Towarzystwo niespiących. — Towarzystwo fortowiczów. — Stowarzyszenie śpiących. — Pokuta obyczajów tradycyjnych.— Prawa chłopskiej twarzy.—Brzydki czas

Heta!.. wiśta!.. wio! Jedzie! Prr! Stanął. Ale ruszy... pojedzie. Tak przynajmnicj zapewniają woźnice banku ziemskiego w Poznaniu i ci, którzy go za koła, kłonice i drabki popychają. „Przeprowadził parcelacyę folwarku Naramowice *już* tak daleko, że wymiar pojedynczych parceli został dokonany i grunta wystawiono na sprzedaż.“ *Już* tak daleko! Na litość, nie trzeba się zbyt spieszyć, ażeby wątłych sił nie naderwać. Przed kilku tygodniami pewien niemiec został skazany na czteromiesięczne więzienie za to, że chcąc zmusić konia do wyciągnięcia wozu przeładowanego z błota, zapalił pod brzuchem biednego zwierzęcia słomę. Wprawdzie nasi chłopkowie często używają tego skutecznego sposobu, ale to nie racya, ażeby on nie był karygodnym, zwłaszcza w zastosowaniu do banku ziemskiego. Dziennikarze więc, którzy zapalają pod nim swą słomę, niech pamiętają, że popełniają nieprawość i że, jeśli w wieku bieżącym (brak mu do końca tylko 13 lat) parcelacya folwarku Naramowice będzie ukończoną, szanowna instytucya finansowa zasłuży sobie na niewygasłą wdzięczność potomnych. Proszę zważyć, że Bóg nasze ciała zbiorowe stworzył do rady, ale nie do czynu i że trzech polaków, dźwigających wytrwale i zgodnie pióro sikory, należy u nas do zjawisk wyjątkowych. Skutkiem tego nawet spaźnialiśmy się nieraz w historyi. Tak np. oddawna mieliśmy szczerą chęć uwłaszczenia włościan, ale radziliśmy dopóty, aż ich uwłaszczono bez nas a my poprzestaliśmy na zaszczycie pierwszeństwa w powzięciu idei. Zgodnie z tym obyczajem przodków, bank ziemski piastuje dotychczas „ideę“ ratunku i sprawdza jej wartość praktyczną, w folwarku naramowickim. Szkoda tylko, że tu nikt nas nie wyręczy, jak przy uwłaszczeniu. Ale to mniejsza; w każdym razie spieszyć się nie należy.

Co innego niemiec Kamke. Pluder od tego pluder, ażeby odrazu wskakiwał w wodę z sakiem, nad którą my rozmyślamy i termometrem mierzymy, czy dość ciepła, oczekując gorętszej pory. Ten psiawiara, chociaż nie jest bankiem, nie ma wspólników i doradców, nie zasięgał zdania wszystkich dobrze myślących, kupił wieś Głubczyn w powiecie złotowskim, rozparcelował i sprzedał kolonistom niemieckim, zarobiwszy przytem dostatnio. Po tej szczęśliwej próbie kupuje drugi majątek i pokłada się od śmiechu z banku ziemskiego, który ugrzązł w folwarku naramowickim. Podobno pruskie „władze i osoby wpływowe“ zamierzają go udarować swem poparciem. Gdybym uczestniczył w krakowskim zjeździe prawników a zwłaszcza w komisyi, obradującej nad sposobami ocalenia ziemi polskiej w Prusach, nie zalecałbym żadnych szerokich i głębokich operacyj, lecz postawiłbym jedyny do uchwały wniosek: zjazd uznaje konieczność nabycia drogą składek powszechnych p. Kamkego i podarowania go bankowi ziemskiemu w Poznaniu, ażeby środkami tej instytucyi wykupywał ziemię od „czoła“ narodu i sprzedawał ją jego stopom. Innej rady nie widzę i usilnie zachęcam wszystkich, oczekujących pomocy z nieba, do następującej modlitwy: ponieważ nim słońce sprawiedliwości Twojej, Boże, wejdzie, rosa nam oczy wypije, zeslij nam nie archaniołów, bo ci nigdy na czas nie przybywają, ale daj kilku obrotnych niemców, którzy by za nas robili, gdy my radzić będziemy.

Gaz. warszawska mocno utyła. Z każdym dniem przybywa jej kilka łutów wagi, tak że nawet chwilowo podejrzywałem Sarę naszej prasy o stan dla jej wieku niestosowny. Otyłość ta wszakże nie jest wynikiem nowego związku małżeńskiego lub niewierności Kenigowi, lecz objawem zwykłego, a raczej niezwykłego o tej porze nasycania się gorzkiemi (dla niej słodkiemi) jagodami „dyrekcyj szczegółowych.“ Jak wiadomo, posiada ona przywilej drukowania (płatnych) ogłoszeń Towarzystwa kred. ziemsk. o dobrach za zaległe raty wystawionych na sprzedaż. „Szlachcie“ w lepszych czasach pozwalał sobie tego nieco drogiego zbytku, ofiary, czy też przyjemności zawiadomienia świata o swem i swych folwarków istnieniu; sprawiało mu to rozkosz, że podrażniwszy Towarzystwo, odbijał w ostatniej chwili jego miecz katowski kwitkiem opłaty zaległości, a w nabywcach obudziwszy oskomę, pokazywał im figę. Kosztowało to trochę, ale była zabawka — przyznać trzeba — całkiem obca ludziom poważnym (zasobnym). W ostatnich wszakże latach farsa zaczęła powoli przybierać cechy dramatu, a gdy szlachta coraz bardziej chudła, *Gaz. warsz.* równomiernie tyła... ogłoszeniami Nareszcie w pewnych porach przedstawiała ona taki widok, jak gdyby ziemię połowy Królestwa Polskiego co jakiś czas wystawiono na licytacyę. Podobny obraz mamy obecnie: w samej gubernii warszawskiej wykazano do sprzedaży 180 majątków, w kaliskiej 120, w kieleckiej 93, w piotrkowskiej 91, w siedleckiej 47 — itd. Nie wszystkie pójdą pod młotek, ale po straceniu lekkomyślności, niedbalstwa, marnotrawstwa, otrzymamy znaczny procent ruiny, spowodowanej ogólną niedolą ekonomiczną. Tych mi żal, bo z pewnością niejeden wystąpił do boju z przeciwnościami mężnie, dźwigał brzemię siłami wytężonemi i padł pod niem zgnieciony — zgnieciony z liczną rodziną, z własną i jej nieudolnością do innej pracy. Widok kary zasłużonej jest nieraz przykrym, niezasłużony—bolesnym. W losie błyszczącej nędzy, wydziedziczonych posiadaczów, panów z torbą i kijem żebraczym bywa wiele sprawiedliwości, ale i wiele męczeństwa, a oba te pierwiastki tak często z sobą się łączą, że trudno je oddalić i wskazać, który przeważył. Gdy dąb pada, kto tam obrachuje, czy go powaliły robaki, czy też burza.

Towarzystwo ogrodnicze stoi krzepko, ale od czasu do czasu rodzą się w jego łonie dążności, lub w sferze jego pośrednich działań występują objawy, które ilustrują naszą zdolność do pracy zbiorowej. Wiadomo, że istnieje *Ogrodnik polski*, pismo, redagowane dość umiejętnie, a popierane przez ogół bardzo słabo. Nadto redaktorzy jego są cząstkami duszy Towarzystwa. Na pozór cóż naturalniejszego i prostszego jak uczynić to wydawnictwo organem instytucyi? Tak byłoby w Niemczech, we Francyi itd.— ale nie u nas. U nas — w kraju małym i nieoświeconym, w porze, kiedy cała prasa „robi bokami“ — żąda się, ażeby Towarzystwo miało swój „własny organ.“ Chociaż p. T. Kowalski zasadnie w tej sprawie wystąpił przeciwko p. Grundewicowi, oddano ją (na ostatniem posiedzeniu) do rozpoznania komisyi. która, zastanowiwszy się dobrze, przyjść może tylko do jednego wniosku: kto chce, ażeby u nas wcale nie było pisma ogrodniczego, niech założy drugie; rozbite gronko sił współpracowniczych, rozbita gromadka abonentów szybko sprawi zagładę.

Wspominaliśmy niedawno o tem ze smutnych i zabawnych nici utkanem pasmie, jakie uprzędła historya spółki owocarskiej. Historyę tę opowiedziały inne pisma. Znalazł się jednak pod Szawlami jakiś odcięty od świata samotnik, który o niej nic nie słyszał i w naiwnej wierze przysłał spółce do sprzedania partyę owoców. *Ogrodnik polski* nie mógł sobie inaczej poradzić z tym kłopotem, tylko musiał sprzedać towar, nieposiadający cierpliwości członków tylokrotnie odkładanego przedsięwzięcia i grożący gniciem. Biedny „obywatel z pod Szawli,“ biedny nie dla tego, że może poniósł stratę, ale dla tego, że uwierzył dobrodusznie w szybkość i energię naszych spółek. On myślał w naiwności, że u nas kupkę ludzi sprządz można w ciągu jednego roku, że gdy ogłoszą termin podpisania umowy, to z pewnością w oznaczonym dniu przyjdą i podpiszą. *O, sancta simplicitas*!

Chociaż niewątpliwie posiadamy pewne zarodki talentów stowarzyszania się. W ubiegłym tygodniu np. kilku badaczów związało się dla doświadczeń, który z nich dłużej wytrzyma bezsenność. Rezultat próby okazał się niezwykłym: jedni po paru dniach skapitulowali, inni drzemiąc, mdlejąc, chudnąc, zapadając w stan gorączkowy, ciągnęli dobrowolną męczarnię dalej, aż wreszcie usłuchali rady... lekarzów i przerwali niebezpieczną „zabawę.“ Ale siedem dni, wyraźnie: *siedem* dni polak wytrwał w przedsięwzięciu — proszę nie lekceważyć tego czynu, bo on jest bardzo rzadkim!

Równocześnie zawiązało się inne stowarzyszenie ludzi światłych, którego członkowie obowiązani są każde nowe zdanie w mowie zaczynać od *fort*. Np.: „fort w szpitalu dla obłąkanych miejsca brak, a wariaci ciągle się mnożą.“ Cała gramatyka zawiera to jedno tylko prawidło składniowe — sądzę więc, że znajdzie wyznawców, tem gorliwszych, że cel związku piękny.

Czy wobec tych i tym podobnych objawów, nie powinnibyśmy założyć związku śpiochów? Czuwając, widzimy przeważne objawy umysłowego i moralnego zwyrodnienia, paraliże naszych nerwów czucia i ruchu, obłędy, krótkowidztwo i ślepotę; śpiąc zaś, zwłaszcza w odurzeniu narkotykiem przyjemnym, moglibyśmy marzyć rozkosznie i używać bez ograniczeń: *fort*. Szczęśliwy, kto żyje w gronie umysłów, rzucających na niego blaski; szczęśliwy, kto ma serce roztapiające mu miłością wszystkie smutki; ale kto tych skarbów nie posiada, powinien spać. Naprzód próbójcie sami szan. czytelnicy, bo uprzedzam, że nawet po owem *fort* mogą nie zasnąć: potrzebowałbym na to środka silniejszego.

Pan kazał owczarzowi coś zrobić, a otrzymawszy odpowiedź hardą, uderzył go w twarz. Chłop porwał kamień i rozbił nim głowę pana. Służący pewnego zakładu fotograficznego spijał się i zaniedbywał swe obowiązki. Raz wymalowano śpiącemu lapisem na twarzy butelkę i kieliszek — chłop pozwał figlarza do sądu. W obu wypadkach mamy dramat — pokutę naszego arystokratyzmu, niemogącego uznać w prostaku człowieka. Wierzę, szlachetni panowie, że wam to przychodzi trudno, ale ustąpcie, jeżeli nie kazaniom demokratycznym, to własnemu interesowi. Odłamcie sobie rogi — niema rady — bolesna to operacya, ale trzeba się jej poddać. W przeciwnym razie będziecie mieli potrzaskane głowy, siedzieli w więzieniach itd. Brzydki to czas, ale ma siłę i orzeka, że chamskich twarzy ani policzkować, ani malować nie wolno.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Kilka słów politowania.— Próbka uczuć i myśli szlacheckich. — Czarodziejski wpływ rąk księżowskich.— Darwin w litanii do wszystkich świętych.— Militarny mózg. — Litościwa rada *Tygodnia* i samolubne zdziwienie fabrykanta. — Bezbożność chłopska i żal za propinacyą pańską.

Położenie naszych pism prowincyonalnych jest ciężkie: chroniczna ich niemoc —

brak współpracowników, zwłaszcza zaś dobrych korespondentów. Stąd też *Gazeta lubelska* np. przyjmuje ćwiczenia stylowe swoich reporterów na temat spraw równych doniosłością kichnięciu emeryta przez sen lub sprzątnięciu komuś, co na dach wlazł, drabiny przez kogoś; stąd znów *Korespondent płocki*, ledwie skończył jedne bajdy o księciu „panie kochanku,“ aliści pospieszył z drugiemi.

Dobrze, że przed tem zatkaniem się na całe tygodnie zdążył przynajmniej zamieścić korespondencyę ze wsi, kartkę cenną, przyczynek do dziejów tępości umysłowo-moralnej „ziemian“ (oby tylko w płockiem!). W pewnem ich gronie znalazł się niejaki p. Ksawery, który, z powodu zapowiedzianego zaćmienia słońca, namawiał sąsiadów do zakupu wspólnym kosztem kilkudziesięciu egzemplarzy książeczki, pouczającej o tem zjawisku. Kosztowała 5 kop., chodziło zaś o rozpowszechnienie jej śród ludu okolicznego.

— Gdzież my tam będziemy sprowadzali te książeczki? Przecież księgarni w naszem powiatowem mieście nie mamy.

W kilka dni potem p. Michał upewniał sąsiada, że projektodawca jest — socyalistą, ponieważ była mowa o „wspólnym koszcie“ i „daremnem rozdaniu chłopom.“

— Ja, sąsiadeczku, tom pouczył chłopów tych, co to jest zaćmienie, bo, panie dobrodzieju, z konia wczoraj jakem jednego zdzielił szpicrutą przez łeb, to z pewnością ściemniło mu się w oczach, a furmana znów za to, że nie elegancko zajechał mi przed dom rodziców panny Zofii, tak wylałem po pysku, że z pewnością też miał zaćmienie przez kilka godzin.

O biedni wy przodownicy narodu! Ciężkie czasy skłaniają was do wyrabiania w sobie przymiotów karbowego lub ekonoma. Jednakże, gdyby was tak landrat pruski „zdzielił“ lub „wylał,“ ręce wasze prędzejby uschły, niż sięgnęły do odwetu... Zwykłe dzieje zwyrodnionych. Radziłbym przecież ostrożnie być z Bartkami, bo wy ze wszystkich cnót rycerskich zachowaliście sztukę „zdzielania“ głów szpicrózgą, a oni potrafią to samo jeszcze lepiej cepami lub drągiem.

Albo księża nasi. Według słów tego samego korespondenta, zaćmienie słońca poprzednie utkwiło żywo w pamięci ludu, ale jako „kara boża.“ Słusznie utrzymuje, że przyczyną tego wyobrażenia była kościelna zapowiedź zjawiska z ambon. Na dowód swego przypuszczenia przytacza rozmowę z parobkami, którym odczytywał artykuł p. A. Zakrzewskiego w *Gazecie świątecznej* o zaćmieniu.

— Księża nic nie głoszą z ambon tera, a czy to, proszę pana, i to zaćmienie będzie kara z nieba? — pytali go.

Korespondent nie podejrzywa w tem złej woli ówczesnego duchowieństwa. Różnie być mogło, chociaż to pewna, że zgodnie z właściwościami umysłu swego musieli księża tak nabożnemi słowy obwieszczać ludowi zjawisko przyrodnicze, iż ono mu powinno się było wydać nadprzyrodzonem. Wiele znaczy dla ducha bogobojnego widok ołtarza, zapach kadzidła i mnóstwo innych rzeczy, rzucających myśl w proch... Na co dalej iść po dowody? „W pewnej parafii ksiądz z ambony potępiał Darwina — słowa korespondenta — czy też może tylko powstawał przeciwko niewłaściwemu pojmowaniu nauki tego uczonego (ksiądz zapewne właściwiej pojmował?). Niektórzy z chłopów nie zrozumieli czynionych słusznie (!) zarzutów fałszywym (?) adeptom Darwina, ale słysząc często powtarzane nazwisko, poczęli wzdychać, szepcząc: „święty Darwinie, módl się za nami “ Oczywiście zbezczeszczenie i kościoła i litanii w oczach księdza. Co do mnie, wolę niech Bartek modli się do Darwina, który rozwój ludzkości czyni zależnym od rozwoju uczuć altruistycznych, niżeliby miał łączyć się ze szlachtą poznańską w modlitwie do Bismarka.

Imię trójwłosego starca nasuwa mi Prosnę, oddzielającą „Kongresówkę“... od pruskiej świątyni gwałtów, rzeka zaś graniczna — Kalisz. Powinszować muszę jego organowi nabytku. Idzie mi o pana „Kometę“ i jego zachętę społeczeństwa do poprawy wychowania cielesnego młodzieży. Najciekawsze atoli pobudki nawoływań. „W dzisiejszych czasach koniecznego militaryzmu, wobec starań o przewagę liczebną powołanych do broni, ludzkość płaci uciążliwy podatek naturą. Taki stan rzeczy wymaga spotęgowanych starań koło umiejętnego hodowania rasy ludzkiej.“ Mój Boże! czegośmy doczekali! Mamy więc dbać o zdrowie nie dla niego samego, lecz żeby się stać opasami, przeznaczonymi na rzeź. Przestań, panie Kometo, bo gotówbym pomyśleć, że nie „sprawy społeczno-sanitarne“ leżą ci na sercu, lecz własna sprawa dostania się na posadę gimnastyka do szkoły junkierskiej. Nawija mi się pod rękę nowa rada korespondenta *Tygodnia*. W Dąbrowie Górniczej dużo jest karczem, przeważnie żydowskich. Liczba ich dochodzi do 40 i z każdym rokiem się zwiększa. Po każdej wypłacie zgromadzają się w nich „fabrykanci, górnicy i inni robotnicy“ — i piją na zabój. Żony zaś tymczasem i dzieci w domu kawałkiem suchego chleba się obywają. Jest to stokrotnie powtarzany obraz bytu robotniczego. Nie wiem tylko, po co korespondent włącza tu fabrykantów. Czy sądzi, że gdy i oni piją, to żony i dzieci ich także mrą głodem? W takim razie nie opłaciłoby im się uprawiać rzemiosła wyzysku siły roboczej. „Karczma, według dobrego zapatrywania — słowa korespondenta — powinna być miejscem, gdzieby się schodzili ludzie dla narady nad jakąś ważniejszą sprawą, bliżej ich obchodzącą, dla pogawędki, przeczytania gazety, lub zabawienia się po ciężkiej pracy, ale nie dla pijatyki, awantur i łajdactw, jakie się odbywają niemal w każdym szynku.“ Zapewne, miły panie. Masz tkliwe serce: chciałbyś ich widzieć w swojem położeniu. Za wielkie żądania. Skróć im pan dzień roboczy i podnieś płacę, każ fabrykantowi sumiennie czuwać nad nauką szkolną wyrostków, pozwól najmicie narażać się nad „sprawą bliżej go obchodzącą,“ a ujrzysz przedmiot swych marzeń mieszczucha: cukiernie zamiast karczem!

Nie wszyscy są czuli. W jednej z fabryk warszawskich młody praktykant odważył się spytać fabrykanta o zdanie co do podwyżki swej płacy.

— A to dobre sobie! — wykrzyknął. Brałeś pan 18 rs. miesięcznie, rozumiałem. Teraz żądasz 20! Ciekawy jestem, co zrobisz z dwoma rublami?

Nie wiedział, on, co może jednej nocy na rozpustę kilkaset wydał. Ci panowie tępy mają wzrok: sięgają nim na odległość swego tłustego brzucha lub książki wypłat, bladości i chudości twarzy najmity nie dojrzą.

Jeżeli wierzyć temu, co z Opola do *Gaz. lubelskiej* donoszą, to słynna pobożność ludu polskiego pierzcha odeń czasem zupełnie. Dnia 2 lutego gromadka włościan po wyjściu z kościoła, dopuściła się czynu, rzucającego dziwne światło na stan uczuć i myśli chłopskich. Udała się do niechrześciańskiego szynku i pozapalawszy tam przyniesione z sobą poświęcone gromnice, piła „na zabój.“ Innym razem znów d. 15 sierpnia w święto Wniebowzięcia pozwoliła w szynku dzieciom żydowskim jeść jarzyny i owoce poświęcone. Bezwątpienia w duszy chłopskiej odbywa się jakiś proces przetwarzania, chaos przedstworzenia, rażące objawami swoimi. A p. „przejezdny“ (zapewne ziemianin) opisując to, roni łzy żalu za przeszłością, za „propinacyą w rękach samego właściciela.“ Pocieszny! Zapomniał o istniejącej sprzeczności między potrzebą rozprzedania jaknajwiększej ilości wódki a stroną moralności.

Ale wracam do *Gaz. radomskiej*. Już to drugi raz wypada mi zaznaczyć, że oprócz ględzenia reporterów, gdy zechce, może mieć i artykuły dobre w sprawach wiejskich. Z powodu projektu ograniczenia wybieralności wójtów, p. Jan Sojda nakreślił obraz stosunków wyborczych. Oto, jak stara się wyjaśnić fakt wybierania na wójtów ludzi niepiśmiennych:

Są dwa typy włościan. Do pierwszego należą ludzie, miłujący przedewszystkiem pracę i dobre stosunki z sąsiadami. Gdy taki się dorobi grosza, jest całkiem zadowolony z położenia. Nie lubi brać krzykliwego udziału w sprawach ogólnych, urzędowania wójtowskiego wcale sobie nie życzy, a w obradach gminnych trzyma się na uboczu. Jeżeli zebranie gminne obierze którego z nich na wójta, będzie się kierował w czynnościach zasadą nienarażania się nikomu. Taki wójt, jeśli sam dobrze zna sprawę, objaśnia interesantów, w przeciwnym razie powiada wprost:

— Pytaj o to kogo innego, bom ja nie uczony, a źle radzić nikomu nie chcę i nie mogę.

Drugi typ stanowią krzykacze. „Hałasują oni na wyścigi, głośno rozprawiają o wszystkiem i o niczem. Każdy z takich krzyczy o swojem widzimisię i zarazem wytęża ucho, czy czasem nie na niego głosują inni, a kiedy nazwiska swego nie słyszy, wtedy ze złością w lot chwyta pierwsze lepsze i głosuje ze wszystkich sił z drugimi.“

— Wielmożny naczelniku! — woła. Pawła, Pawła, naprawdę... wszyscy chcemy Pawła na wójta.

Albo znowu innym razem:

— Nie chcemy już chłopa, niech lepiej będzie szlachcic, bo ma „głowę i rozum,“ a chłop niech cepów pilnuje.

Wogóle wyborom nie towarzyszy ani rozwaga, ani sympatya dla osoby obieranej. P. Sojda powołuje się na znaną sobie gminę, gdzie na wójta wybrano starego, niepiśmiennego i najgłupszego chłopa.

— A niechże go teraz sam naczelnik rozumu wyuczy! — powiadali.

Istotnie wójt ów bez dwóch bochenków chleba i jednego serka nigdy się nie zjawił w zarządzie powiatowym, wiedząc z doświadczenia, że przynajmniej siedem dni w kozie posiedzi. Jego urzędowa czynność nie lepiej się przedstawia. Zastępuje np. komornika:

— Kumie! są tu do was, mają pismo z sądu o te pieniądze z wyroku — przemawia do dłużnika.

Ten zaś wyzywa wierzyciela, ławników i sąd cały, oświadczając, że ani grosza nie zapłaci. Kipi kłótnia, a wójt siedzi i słucha. Gdy mu się sprzykrzy, woła:

— Ani mi za tym, ani za tym, ale za Bogiem i za prawdą! Dajcieno tabaki.

— Panie wójcie! — woła wierzyciel — róbmy zajęcie, bo ja dłużej takiemu czekać nie mogę. Ja mam wyrok, a sędzia powiedział, że wójt pieniądze musi ściągnąć.

— Moi chłopcy, moi drodzy! — odpowiada mu na to. A róbta ta, jak tam chceta. Ten mi dobry i ten mi dobry, a Bóg łaskawy i miłosierny, jako sędzia nasz najlepszy. Zostajcie z Bogiem. Kiedy się sami pogodzić nie chceta, to i ja wam nie nie poradzę.

— Panie wójcie!.. ja prosto do naczelnika na skargę.

— E... co tam gadacie takie głupstwa, a czy wy to nie katolik, czy co, żeby zaraz na skargi latać? Czy myślicie, że naczelnik takich lubi, co do niego na skargi chodzą? Toć ja sam dziś opowiem memu pisarzowi, że kum nie chcieli wam oddać pieniędzy, a jak mój pisorz ze mną przyjedzie, to my zrobimy wszystko wedle prawa. Nasz pisorz ma rozum... On by i samego dyabła sprzedał. Pójdźmy lepiej do karczmy, to się może oba przeprosicie i pogodzicie, a ino mi oddajcie ten papier (wyrok), boby się pisorz na mnie straśnie gniewoł.

Tak to się rządzi Bartek i takie u niego objawy władzy. *Zygmunt Atanazy.*

Z SĄDU.

(Według *Kuryera warszawskiego*).

W lutym 1885-go r. do naczelnika straży ziemskiej powiatu włocławskiego zgłosiła się włościanka Katarzyna Piczulska ze skargą na postępowanie dwóch strażników ziemskich, Jana Lajby i Ignacego Lipińskiego. Wypadek, który skargę wywołał, był następujący:

Na dwa dni przedtem we wsi Unisławicach popełniono kradzież we dworze. Poszkodowanym był dziedzic wsi, Brochocki, i gospodyni, Trąbczyńska. Podejrzenie padło na stróża nocnego, Franciszka Piczulskiego, zwłaszcza że kradzież była spełniona ze znajomością miejsca i bez widocznych śladów złoczyńcy.

Zawiadomiono strażników Lajbę i Lipińskiego, którzy też o godzinie 3 rano przybyli do Unisławic i natychmiast, wedle udzielonej im wskazówki, zwrócili się do Piczulskiego, będącego wówczas w kuchni dworskiej. Kilka uderzeń w twarz i obcesowe zachowanie się strażników zbiły napastowanego z tropu. Po chwili leżał już na ziemi. Obecność jednak czeladzi kuchennej nie była przybyłym na rękę: zawlekli więc Piczulskiego do *gabinetu p. Brochockiego* i tam dopiero, zamknąwszy okiennice i drzwi, przy świetle lampy, rozpoczęli swą czynność. Chodziło o wydobycie przyznania się do winy. Zastosowano odpowiednie środki, jak: bicie po twarzy, kopanie itp., Piczulski jednak stanowczo zaprzeczył, jakoby miał dokonać kradzieży. Wtedy Lajba i Lipiński związali mu w tył ręce, przewrócili na ziemię i zaczęli bić kułakami i pochwami szabel.

Wreszcie pod wpływem strachu i bólu Piczulski przyznał się do winy. Wtedy operacya powtórzyła się na nowo, tym razem dla dowiedzenia się, kto był wspólnikiem kradzieży. Piczulski zaklinał się, że nikogo nie było; nic to jednak nie pomogło, owszem zaszkodziło raczej, bo obaj inkwizytorowie zdjęli mu buty i zaczęli go bić postronkami po nogach, przyczem Lipiński podtrzymywał mu nogi, a Lajba bił. Nie pozostawało nic innego, jak wskazać pierwszego lepszego. Tak też zrobił Piczulski, wskazawszy mieszkańca tejże wsi Samuela Hermana.

Niebawem zamiast jednej ofiary znalazły się dwie w *gabinecie p. Brochockiego*. Tym razem zaciekłość strażników zwróciła się przeciwko Hermanowi. Obnażono go zupełnie i zaczęto okładać sznurami, aż wreszcie i on przyznał się do winy.

Wtedy właśnie nadszedł na miejsce egzekucyi wójt gminy, Michał Glonek. Rozpoczął się akt trzeci, mający na celu wykrycie miejsca, gdzie skradzione przedmioty zostały schowane. Piczulski wskazywał po kolei rożne kąty i kryjówki, ale w żadnej z nich nic nie znaleziono. Strażnicy prowadzili go ze zawiązanemi rękami po kolei do każdej kryjówki, a nie znalazłszy tego, czego szukali, wracali z nim znowu do dworu i ponawiali egzekucyę. Kiedy w czasie tego Piczulski zażądał wody dla ugaszenia pragnienia, Lipiński uczynił zadość tej prośbie w sposób, niepodobny do opisania. Operacya przeciągnęła się od godziny 3 rano do 4 po południu, poczem Piczulski został odstawiony do aresztu gminnego. O stanie, w jakim się wtedy znajdował, mogą nam dać wyobrażenie oględziny lekarskie, dokonane w cztery dni później. Powieki, policzki i nos jego stanowiły jeden wielki siniec, uszy i skronie miały kolor ciemno-niebieski, nadto lewe ucho napuchło: między łopatkami na plecach utworzył się wielki siniec zielony, a skóra na nosie, policzkach i wardze pokryta była strupami, powstałymi od zdrapania. Zdaniem lekarza, dokonywającego obdukcyę, rany wynikły wskutek uderzenia tępem narzędziem i należą do mniej ciężkich. Przy powtórnej obdukcyi dnia 30 marca tegoż roku, a więc w półtora miesiąca później dokonanej, Piczulski miał jeszcze sińce na lewem uchu.

Fakt znęcania się nad Piczulskim potwierdził przedewszystkiem Herman, który widział go leżącego na ziemi bez butów i był obecnym przy rozprawie. Toż samo zeznał Piczulski co do Hermana.

Z innych świadków zanotować należy zeznanie służącej Eleonory Popielarskiej, która słyszała rozpaczliwe jęki i krzyki, dochodzące z *gabinetu*.

Słyszeli je również Domański i Głowacki, których wezwano następnie na świadków, kiedy Piczulski przyznał się do winy.

Obaj nadto dodali jeszcze następujące szczegóły.

Podczas jednej z wycieczek w celu sprawdzenia wskazanej przez Piczulskiego kryjówki, strażnicy udali się z nim na strych. Piczulski z obawy nowych katuszy schronił się w słomę. Wyciągnął go stamtąd Glonek i chciał nawet zrzucić ze strychu; na szczęście powstrzymali go strażnicy i skończyło się na tem, że sprowadzono Piczulskiego po schodach, przyczem Glonek trzymał go za włosy. Zeszedłszy na dół, wójt przewrócił go na ziemię, związał i ciągnął za włosy po ziemi na przestrzeni 30 kroków. Innym razem przy dole od kartofli, Glonek uderzył Piczulskiego kolanem i pchnął go na ścianę, tak, że zranił sobie ucho do krwi.

Pociągnięci do odpowiedzialności i stawieni przed sądem, na posiedzeniu we Włocławku oskarżeni tłomaczyli się tem, że chcieli zaskarbić sobie względy swej władzy.

Jednocześnie ze sprawą Piczulskiego sądzoną była druga sprawa o udręczenia, w której brali udział ciż sami Lajba i Lipiński oraz trzeci strażnik, Horin.

Poszkodowanym był włościanin z Lubienia, Jędrzejewski, którego ta ojcowska admonicya przyprawiła o złamanie żebra i sińce na ciele.

Obie sprawy sądzone były razem.

Zeznania świadków w zupełności potwierdziły osnowę aktu oskarżenia.

Wobec tego sąd okręgowy skazał Lajbę i Lipińskiego na 8 miesięcy, Horina na 4 miesięcy wieży. Glonka zaś na 2 miesiące aresztu policyjnego.

No, a cóż się stało z szanownym właścicielem dóbr i... gabinetu, gdzie te tortury się odbywały? Czy go nawet opinia nie ukarze?

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoły rzemieślnicze rządowe, ze specyalnym wykładem rysunków ręcznych i linearnych, mają być w bieżącym roku jeszcze otworzone w kilku guberniach Cesarstwa i Królestwa. Nauczycieli do nich dostarczą specyalne kursy rysownicze, istniejące przy akademii sztuk pięknych w Petersburgu.

Praw. Wiest. ogłasza uchwałę Rady państwa, na mocy której zamiast postanowienia b. komitetu do spraw Królestwa Polskiego z d. 28 listopada 1865 r. zalecono: „Wszystkie sumy, przypadające właścicielom dóbr majorackich w Królestwie Polskiem i w guberniach zachodnich, z tytułu wykupu lub wynagrodzenia za przymusowe wywłaszczenie gruntów i lasów, będą wnoszone do Banku państwa lub do innej instytucyi kredytowej, przez rząd ustanowionej, w państwowych papierach procentowych lub przez rząd gwarantowanych, a to dla utworzenia kapitału nieruchomego, stanowiącego część majątków majorackich. Jedynie tylko niewielkie kwoty, niedosięgające wartości papierów procentowych, mogą być wnoszone gotówką. Właściciele majoratów posiadają zaś prawo pobierania procentów od rzeczonego funduszu.“

Ordynatorzy kliniki terapeutycznej: dr. Henryk Rupert, chirurgicznej dr. Kleinadel, tudzież akuszeryjnej, dr. Józef Kuniewicz i Władysław Tyrchowski, z powodu wysłużenia prawem przepisanych lat trzech, zostali uwolnieni od spełnianych obowiązków.

Towarzystwo główne kolei rosyjskich wyznaczyło premia za wykrywanie nadużyć przy wysyłaniu towarów.

Dr. Józef Kallenbach został mianowany docentem literatury polskiej w uniwersytecie jagielońskim.

P. Tadeusz Dowgird otworzył w Warszawie — jak donosi *Kur. por.* — szkołę trzyklasową miejską z kursem sześcioletnim. Ma to być pierwsza szkoła prywatna, zastosowana do ustawy niedawnej dla szkół miejskich. Wykładane w niej będą także: stolarstwo i tokarstwo. Szkoła ta wobec powinności wojskowej daje ulgi 3-ej kategoryi.

Wystawa nasion w budynku Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie, została otwarta. Dotąd uczestniczy 79 wystawców, przeważnie właściciel ziemskich z Królestwa. Są i z Podola i z gub. mohylewskiej. Najpokaźniej wyglądają dotąd zbiory zbóż i traw pastewnych ziemian z Królestwa. Fabryka przetworów owocowych w Kazimierzu nad Wisłą nadesłała swoje okazy.

Zjazd przedstawicieli straży ogniowych zwołany będzie na jesień b. r. do Moskwy. Sprawa obowiązkowego zakładania straży ogniowych ochotniczych we wszystkich gminach będzie na nim roztrząsaną.

Sycylia nie przestaje być widownią zaburzeń ludowych z powodu trwania cholery. W Toretto gmach magistratu został z ziemią zrównany.

Nowosti donoszą, że kurator warszawskiego okręgu naukowego, dostrzegłszy, iż często dla uczniów, uczęszczających do rządowych zakładów naukowych wybierani bywają nieodpowiedni nauczyciele domowi, czyli t. z. korepetytorowie, wydał polecenie, aby na przyszłość rodzice wybierali takich nauczycieli za uprzedniem porozumieniem się z władzą naukową, a głównie z nadzorcą klasy, w której się znajduje uczeń.

We Wrocławiu aresztowano 35 socyalnych demokratów pod zarzutem należenia do tajnego związku.

Now. Wremia donosi, iż stan wojenny w Petersburgu przedłużony został jeszcze na rok jeden.

Petersb. Wied. donoszą, że w centralnym komitecie statystycznym opracowany został nowy szemat świadectwa lekarskiego o zejściu.

Rižskij Wiest donosi, że z rozporządzenia kuratora okręgu dorpackiego, wszelkie podania, zwrócone do władz gimnazyalnych, winny być pisane po rosyjsku lub przedstawione w wierzytelnynh przekładach na język rzeczony.

Ofiara. Dr. Ludwik Natanson, prezes gminy starozakonnych w Warszawie, zawiadomił magistrat, iż pragnący pozostać w ukryciu ofiarodawca złożył na jego ręce 5,000 rs. na fundusz wieczysty, od którego procenty mają być używane na utrzymanie przy gminie warsztatów rzemieślniczych, gdzie ma się kształcić młodzież izraelska.

Bibliografia. P. Maryan Jasieńczyk wydał zbiór swoich nowel p. t. *Drobiazgów garść*.

— *Gazety informacyjnej* numer okazowy opuścił prasę. Jest to zbiór westchnień kupiecko-przemysłowych, ujętych w masę drukarską.

— *Przegląd techniczny* w zeszycie sierpniowym rozpoczął artykuł na czasie p. t. „Wody ściekowe.“ P. W. Trzciński przedstawia w nim sposób zużytkowania ścieków w miastach zagranicznych skanalizowanych.

— P. Twardowski, księgarz z Poznania, nabył dwa pisma wychodzące na Szlązku pruskim: *Katolika* i *Światło* od ks. Radziejowskiego w Bytomiu i *Wolne chwile* od p. Miarki w Mikułowie.

— P. Juliusz Meixner, tłomacz powieści Kraszewskiego, przełożył na język niemiecki dwie komedye Bałuckiego: *Byle wyżej* (Jagd nach dem Glücke) i *Krewniaków* (Die Heuschrecken).

— Zmarły niedawno kompozytor G. Rożniecki, zostawił pamiętnik, obejmujący okres od 1825—1832 r.

— Teatr i muzyka. P de Negri gościć będzie na scenie tutejszej do końca b. m. Za ten czas otrzyma 20,000 fr.

— Na pomnik dla Królikowskiego odbył się koncert z udziałem Mierzwińskiego, który, jak zwykle, wywołał zapamiętałe uniesienia.

— Kamil St. Saëns rozpoczął kompozycyę nowej opery p. t. *Benvenuto Cellini*. Treść z dramatu Pawła Maurice.

— 4 listopada, w dzień św. Karola Boromeusza, a imienin Gounoda, ma się odbyć w Wielkiej Operze paryskiej 500-tne przedstawienie *Fausta*. Autor osobiście będzie kierował. Rolę tytułową odśpiewa Józef Reszke.

Ze sztuki. P. Bolesław Syrewicz modeluje pomnik dla Królikowskiego.

Testament Kościuszki. Według doniesień pism amerykańskich, w biurze wydziału spadkowego, w okręgu Kolumbia, znaleziono testament Tadeusza Kościuszki z 1798 r. Wiadomo, że Kościuszko w czasie powtórnego pobytu w Ameryce w nagrodę za położone zasługi w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych, otrzymał od kongresu Unii obszerne posiadłości ziemskie. Opuszczając Amerykę na zawsze, napisał 5 maja 1798 r. taki testament: „Ja, Tadeusz

Kościuszko, mając zamiar opuścić Amerykę, orzekam i rozporządzam, co następuje: Gdybym żadnego innego testamentu nie pozostawił co do moich posiadłości w Stanach Zjednoczonych, wówczas upoważniam niniejszem przyjaciela mego Tomasza Jeffersona, aby całą moją posiadłość obrócił na wykupienie murzynów swoich własnych lub innych, na ich uwolnienie w mojem imieniu i na wykształcenie w rzemiosłach lub innych zawodach itd."

Trzęsienie ziemi nawiedziło 1 b. m. północną Bukowinę i naddniestrzeńskie okolice Galicyi wschodniej. Szyby pękały i ludzie wypadali z pościeli.

Pożar na Athos. Prawosławny rosyjski monaster św. Pantalejmona na górze Athos w Macedonii stał się pastwą płomieni. Spłonęło sześć cerkwi, znajdujących się w obrębie klasztoru. Około siedmiu zakonników straciło życie. Szkody wynoszą podobno przeszło 200,000 rs.

Nagroda. Kilku nauczycieli na Kujawach pruskich otrzymało od rządu nagrodę pieniężną od 150—400 marek za postępy dzieci polskich w niemczyznie pod ich kierunkiem.

Ograniczenia cudzoziemców. W dobrach Kały (pow. łódzki) polak, poddany pruski, dzierżawił ogród. Otóż teraz policya wzięła od niego zobowiązanie piśmienne, że porzuci owo zdrożne zajęcie.

Profesorowie nadzwyczajni: Potylicyn, Liłow i Jastrebow mianowani zostali profesorami zwyczajnymi tutejszego uniwersytetu, docenci zaś: Saronowicz, Zenger i Bielajew — profesorami nadzwyczajnymi.

Naczelnikiem mormonów został wybrany Wilford Woodruf, amerykanin. Ma lat 80.

Zujew, znany geograf rosyjski, wydał niedawno według najnowszych źródeł napisaną i licznemi rysunkami ozdobioną geografię państwa rosyjskiego, tudzież do niej trzy mapy: Rosyi Europejskiej, Azyatyckiej i Królestwa Polskiego. Uwzględniane są najnowsze nabytki w Azyi.

Szpital dla pijaków. Kółko osób w Warszawie krząta się około założenia szpitala dla nałogowych pijaków. Kamieniem węgielnym nowego zakładu będzie zapis na ten cel Hipolita Orzechowskiego, wynoszący około 6,000 rs.

Zakopane pono wpadnie w szpony ks. Hohenlohe, właściciela dóbr ziemskich z Morawy.

Zmarli. Gamo Tomasek, autor czeskiej pieśni narodowej *Hej Slovane!* — w Chyżnej, w Słowacyi, lat 84.

— Dr. Michał Mudroń, redaktor *Narodnich Novin* i jeden z najwybitniejszych przewódców i patryotów narodu słowackiego.

— Ryszard Noch, b. dyrektor orkiestry i profesor Instytutu muzycznego w Warszawie. Wykształcił wielu zdolnych muzyków.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

J. M. W części podzielamy skargę Pani, że krytyk *Kur. codz.* niepotrzebnie pastwił się nad p. Oskarem, występującym w roli Franciszka Mora, boć nikomu nie daje się chłosty za pracę według sił i dobrych chęci, ale obszernej z tego powodu polemiki dla braku miejsca drukować nie możemy.

Ciekawemu. Istnieje osobny p. t. Rozmowy z sobą. Przekładów wiele—niemiecki Clossa (Stutgart, 1886) p. t. *Selbstgespräche.*

P. L. An. Mimo słusznych tu i owdzie myśli, jest to dość bezładny wybuch, będący raczej ogólnikową klątwą, niż filozofią nędzy i obłudy ludzkiej.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Сентября 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.